Nr. 26. Poznań, Niedziela 23go Września 1894 r. Rok. I

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

Rewelacya.

Gdy w czasie ostatnich wyborów do sejmu i parlamentu rozegrały się burzliwie namiętności polityczne i polska ludność pruskiego zaboru w dwóch przeciwnych stanęła obozach, wtedy nieraz w dziennikach i publicznych dyskusyach rzucano śmiałe twierdzenie, że stronnictwa są zgubą narodu. Nie wahano się nawet odmienne w tym kierunku opinie piętnować mianem politycznej niedojrzałości, wichrzycielstwa lub zdrady sztandaru, a formowanie partyjnych obozów charakteryzować jako coś wręcz niesłychanego w społeczeństwie poznańskiem. Nie potrzebujemy chyba dowodzić, o ile zdanie ostatnie pozbawionem jest wszelkiej podstawy rzeczowej, bo obce nie są nikomu z czytelników naszych pamiętne dzieje klerykalnego i narodowego stronnictwa, uwieńczone przed kilkunastu laty bankructwem pierwszego.

Już wonczas przeciwne programy polityczne rozdzieliły społeczeństwo polskie, już wonczas zwoływano stronnicze zebrania i wiece, a pokuszono się nawet o zerwanie solidarności narodowej, choć w imię innych haseł prowadzono wyborców *„in montem sacrum“*.

Są słowa brzmiące, obdarzone dziwnie elastyczną naturą, — słowa, które w pewnem ściśle określonem znaczeniu, powinny stać się świętością narodu i nieodzownym Imperatywem politycznego rozumu, — które jednak z łatwością naginać można do postronnych celów i nadużywać dla interesów jednostek lub koteryi.

Takie pojęcia z gumy wyzyskiwano niejednokrotnie już w naszej dzielnicy, a w ostatnich czasach zaczerpnięto z kategoryi owej jeden wyraz głośny, rozpisywany, jako „nom de guere“ po wszystkich dziennikach: *„Solidarność“*.

Z solidarności ukuto broń przeciw wszelkiej opozycyi w łonie społeczeństwa naszego, — solidarnością zasłonięto jak obronnym puklerzem politykę Koła polskiego, — w solidarności szukano więzów dla spętania społeczno-politycznej emancypacyi szerokich warstw ludowych. Rozumniejsi wprawdzie starali się kilkakrotnie uwydatnić prawdziwy charakter elastycznego pojęcia, dowodząc jasno, że polega ono na podporządkowaniu mniejszości przewadze liczbowej w walce z germańskim żywiołem, — lecz nie wyklucza bynajmniej opozycyi, nie wyklucza stronnictw i organizacyi stronniczej. Przeciw rozumowaniu takiemu nie protestowano w teoryi, — w praktyce jednak działo się inaczej. Każdą negacyę dominujących prądów, każdy protest przeciw dążeniom komitetów prowincyonalnych lub miejscowych mianowano zerwaniem solidarności, a w najlepszym razie prologiem lub drogoskazem secesyi. Pomięszaniem pojęć starano się ujarzmić malkontentów, lecz broń, wypróbowana niejednokrotnie, zawiodła w roku ubiegłym. Powstało stronnictwo ludowe i rozpoczęło działalność na własną rękę, *nie uznając żadnej władzy centralnej*.

Wykazaliśmy już w dawniejszych ocenach obecnej sytuacyi politycznej, że stan taki uważamy jedynie za przejściowy; staraliśmy się uzasadnić potrzebę pewnej korporacyi wyborczej, która powołując rozdwojone społeczeństwo na arenę przedwyborczych zapasów, rozstrzygałaby w pierwszym rzędzie o zwycięstwie w łonie wyborców polskich, a następnie łączyć powinna powaśnionych do stanowczej walki z przeciwnikiem niemieckim. Korporacya taka musiałaby według opinii naszej odznaczać się charakterem *sumiennego objektywizmu*, nie wywieszać żadnych sztandarów stronniczych, nie osłaniać skrzydłami protekcyi żadnej jednostki i żadnej koteryi. Byłaby ona najwyższą instancyą wyborczą, nie wyłączając bynajmniej egzystencyi komitetów partyjnych i wstępnej agitacyi stronniczej.

Postulatowi takiemu w zasadzie żaden trzeźwy polityk nie odmówił słuszności, bo najpowierzchowniejsza znajomość stosunków naszych i najprostszy rachunek polityczny wykazywały żelazną konieczność zalecanej przez nas organizacyi.

Równocześnie jednak rzucono na szalę polemiczne dwie odpowiedzi, — dwa sporne twierdzenia. Armja zgromadzona pod buławą komitetu „legalnego“ oświadczyła stanowczo, że odkryliśmy po raz drugi Amerykę, ponieważ tą najwyższą, bezstronną i objektywną instytucyą jest w pierwszym rzędzie komitet miejscowy, a w drugim prowincyonalny. Pouczono nas, że poznańskie władze wyborcze nie wywieszały nigdy sztandaru stronniczego i nigdy nie krępowały opozycyi, a zatem spełniły uczciwie swój obowiązek, nie przekraczając granic powinności swoich. Twierdzenie to miało pewne pozory prawdopodobieństwa, choć forma poznańskich zebrań przedwyborczych (rychła godzina, wstępna, opłata legitymacye) nasuwała podejrzenia stronniczej tendencyjności. Z formy tej ukuło stronnictwo ludowe poważny akt oskarżenia, zarzucając komitetowi pana Dobrowolskiego wyraźną parcyalność i odmawiając mu stanowczo posłuszeństwa na mocy powyższych motywów. Komitet „legalny“ starał się usilnie rozproszyć podejrzenia stronnictwa ludowego, a i motywując postępowanie swoje wyczerpaniem kasy, kilkakrotnem rozbiciem bezpłatnych zebrań przedwyborczych i potrzebą usunięcia żywiołów, występujących jawnie z hasłem „rozbijania“ na ustach, spotęgował istotnie pozory bezstronności. Mimo wszystkiego jednak trudno się było oprzeć przeczuciu, że za kulisami komitetów rozegrała się jakaś akcya stronnicza, że działały tu sprężyny ukryte, zacierające w naszych „najwyższych instancyach wyborczych“ ten charakter objektywizmu, którego konieczność w zasadzie uznaną została przez wszystkie obozy. Po Księstwie i mieście Poznaniu krążyły bezustannie głuche wieści o tajnych okólnikach rozesłanych „poufnie“ przez komitet centralny wszystkim prezesom komitetów miejscowych, ale nikt nie wystąpił z takim materyałem oskarżenia w ręku, nikt „poufnych okólników“ nie zaprezentował wyborcom.

Dziś już zamknięto księgi przedwyborczych bojów i żadna rewelacya nie wpłynie na rezul-

taty ówczesne, ale mimo to uważamy za konieczne dla charakterystyki naszych władz wyborczych ogłosić *tajny reskrypt komitetu prowincyonalnego*, rozesłany wszystkim prezesom komitetów lokalnych.

Pierwsze ustępy rozporządzenia zawierają zwykłe informacye organizacyjne, — ostatni jednak rzuca charakterystyczne światło na kwestyą bezstronności i objektywizmu najwyższej władzy wyborczej i dla tego przytaczamy go tu in extenso:

Poufne.

Poznań dnia 18 września 1893.

Wielm. Panie Prezesie Komitetu wyborczego powiatu X.

Komitet zwraca uwagę W. Pana Prezesa, że będą czynione usiłowania z znanej strony, by wedle swej myśli kandydatów na posłów postawić, delegatów i komitet wybrać — i całą organizacyą polityczną zawładnąć; w obec tego winieneś W. Pan wraz z towarzyszami jak największą energją rozwinąć, by temu zapobiedz i przeszkodzić, aby w wyborach duch stronniczy nie zwyciężył.

Mamy niepłonną nadzieję, że patryotyzm W. Pana i poczucie obowiązku obywatelskiego sprawi, że zakusom secesyonistowskim i wichrzycielskim położysz skuteczną tamę i wszystkich obywateli pragnących ładu i porządku powołasz do współudziału w pracy.

Komitet prowincyonalny wyborczy na W. Ks. Poznańskie.

Stefan hr. Żółtowski, prezes. Franciszek Dobrowolski, sekretarz. Stefan Cegielski, skarbnik. Ks. dziekan Antoniewicz. Ildefons Chełkowski. Bolesław Kościelski. Stefan hr. Kwilecki.

Rozporządzenie powyższe osłonięte jest zręcznie siateczką słów niedopowiedzianych i giętkich ogólników, aby w razie publikacyi nastręczyć materyał politycznej dyalektyce do maskowania prawdziwych intencyi. Mimo to jednak można z niego dwa jasne i niezbite wyciągnąć wnioski:

1) Komitet prowincyonalny występuje wyraźnie w charakterze stronniczym, polecając komitetom lokalnym energiczną walkę z niesympatycznemi sobie kandydatami na posłów, delegatów i nowych członków komitetowych.

2) Komitet prowincyonalny uważa już samą opozycyą polityczną za secesyą i wichrzycielstwo.

Gdzież wobec tego szukać owej bezstronności, którą konsekwentnie nasze władze wyborcze wysuwały jako tarcz obronną przeciw oskarżeniom ruchu ludowego? Bezstronność okazuje się pustym dźwiękiem, a komitet prowincyonalny *komitetem stronnictwa lub koteryi;* nie ma więc w dzielnicach naszych owej najwyższej władzy, stojącej z nieugiętym objektywizmem ponad stronnictwami — są tylko dwa komitety, reprezentujące stronnictwo Kościelskiego z jednej strony, stronnictwo ludowe z drugiej.

I w nowem świetle staje teraz przed nami owo pamiętne zebranie na sali Bazarowej z kasyerem u drzwi i szóstą godziną na zegarze. Wszystkie tłomaczenia „Dziennika“ i „Kuryera Pozn.“ w nicość się rozpływają wobec niezbitego faktu, że komitet prowincyonalny rozkazał *„z największą energią zapobiegać i przeszkadzać“* zwycięstwu opozycyjnych kandydatów. Nie strach przed „rozbiciem“, nie „wyczerpanie kasy“ lecz rachuba stronnicza i rozporządzenie popierającego interes stronnictwa komitetu podyktowały panu Dobrowolskiemu niebywałe w dziejach parlamentaryzmu naszego hamulce swobody wyborczej. A jeżeli w końcu dla informacyi czytelników naszych dodamy, że sekretarz komitetu prowincyonalnego, a zatem prawdopodobnie autor reskryptu, piastował równocześnie urząd prezesa w komitecie miasta Poznania, to zrozumie każdy z łatwością, dla czego właśnie u nas tak energicznie i bezwzględnie przewodniczący zebrań przedwyborczych popierał interes swojego stronnictwa.



Z krajów okupowanych.

pobieżny szkic

napisał

Wojciech Szukiewicz.

III.

Cała administracya spoczywa w rękach niekrajowców, bo tubylcy do sprawowania jakichkolwiek urzędów absolutnie są niezdolni i nieprzygotowani z jednym jedynym wyjątkiem, o którym niżej.

Przy obsadzaniu zaś wszelkich posad istnieje ta zasada, że na wszystkich prawie urzędach, nie wymagających ciągłego stykania się z ludem, zasiadają Niemcy i Madziarzy, a niższe zajmują Polacy, Czesi, wreszcie Chorwaci.

Odnosi się to zwłaszcza do posad finansowych; w administracyjnych jest przewaga Madziarów, w sądownictwie Polaków i Chorwatów. Na tej podstawie nie można wprawdzie czynić p. Kalayowi zarzutu madjaryzowania, czy niemczenia urzędów Bośnii i Hercegowiny, ale kraj nie może dobrze wychodzić na tem, jeżeli wszystkie prawie najwyższe urzędy zajmują ludzie nie znający języka krajowego. Za to na pochwałę systemu rządowego powiedzieć trzeba, że dyscyplina stanu urzędniczego jest bardzo ostra, w przeciwnym bowiem razie działyby się ogromne nadużycia, na które ludność nigdzie uskarżyć by się nie mogła, gdyż instytucyi autonomicznych nie ma, wybory nie istnieją, reprezentacya i sejm krajowy powstaną może dopiero z czasem, dziennikarstwo krajowe jest prawie żadne, kontroli rządu też nie ma, słowem ludność zdana jest na łaskę i niełaskę biurokracyi, której potęga jest wielka. Istnieje wprawdzie coś w rodzaju gminy wiejskiej, ale jej zakres działania jest niesłychanie mały.

Ciekawe niezmiernie objawy przedstawia sądownictwo, które nie jest jeszcze zupełnie uporządkowane. Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, że kodeks cywilny, obejmujący największą ilość spraw, nie istnieje wcale. Do tej pory uregulowano dopiero na wzorach austryackich prawo kryminalne, handlowe, wekslowe i t. d. Wszystkie sprawy cywilne rozstrzyga się na podstawie zatrzymanego przez rząd kodeksu tureckiego, który tłomaczy się dopiero na język chorwacki i niemiecki. Rzecz więc jasna, że przy sądzeniu spraw i wydawaniu wyroków muszą sędziowie kierować się w wielu razach domyślnością i znajomością tradycyi krajowych. Pomocną w tych razach może być instytucya ławników przez rząd wprowadzona. W sądach powiatowych zasiada sędzia i dwóch ławników, którzy więc są w większości; za to w sądach okręgowych zasiada trzech sędziów a dwóch ławników — tutaj są więc w mniejszości. Jest to zapewne powolne przygotowanie do sądów przysięgłych i do sądzenia samych siebie.

Dziwna rzecz, że Austrya odstąpiła w krajach okupowanych od swoich tradycyi, bo zaprowadziła w adwokaturze numerus clausus i ustną procedurę, wymagającą załatwienia sprawy w ciągu dni czternastu, od wniesienia skargi. Ciekawą jest statystyka przestępstw, wykazująca na pierwszym planie krzywoprzysięstwo, co stąd wypływa, „że skłamać przed szwabą nie jest wcale grzechem“. (Szwabą nazywa lud każdego inaczej niż oni ubranego przybysza bez względu na jego narodowość). Drugie miejsce zajmują kradzieże, popełniane głównie przez

---

9)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI

MAURYCEGO ZYCHA.

(Ciąg dalszy.)

Zapadła noc i nad tem wielkiem mrowiskiem ludzi rozciągał się coraz wyraźniej nikły, niebieskawy płomień łuny. Miliony świecących punktów wynurzały się z ciemności w miarę zbliżania się pociągu do Pragi. Nareszcie rozległ się przeciągły sygnał. Serce ścisnęło mi się boleśnie. Ten świst zdawał się wołać do mnie: pójdź, pójdź, pójdź!...

Jak błędny wysiadłem na dworcu nadwiślańskim i, zostawiwszy Rogowicza, który miał do odebrania jakieś tam paczki, wsiadłem do tramwaju i pojechałem na Zjazd. Tam wyskoczyłem i poszedłem przed siebie Krakowskiem przedmieściem.

Była godzina ósma, to jest ta właśnie pora wieczorna, kiedy z magazynów, sklepów, fabryk, z przeróżnych nor i ognisk pracy wysypuje się na chodniki wszystka „ulica“, na chwilę oddycha świeżem powietrzem, na chwilę prostuje spracowane ramiona i na chwilę zanurza się w dowcip.

I wre Krakowskie, kipi Nowy Świat. Stratowany śnieg iskrzy się w przepysznym blasku, buchającym z poza szyb sklepowych, jęczą dzwonki mnóstwa sanek, wije się ta nieskończona fala twarzy cudacznych, śmiesznych, głupich, chytrych, tajemniczych, zrozpaczonych...

Eh — ty Warszawo, ty ukochana, ty serdeczna! Jakże ciebie było na zawsze porzucić?.. Szedłem szybko, aby zadusić w sobie i stratować wzmagający się napływ refleksyi. Byłem oszołomiony, jak po wypiciu tęgiego kieliszka koniaku. Nie chciałem za żadne skarby świata dopuścić do sformułowania w myśli tego, co już się we mnie dokonało. Okpiwałem się jeszcze, jak głupiec, pojedyńczymi wyrazami, zadawałem własnej imaginacyi śmiertelne ciosy, aby się znowu porwała na nogi...

Skręciwszy na Chmielną, cwałem pobiegłem do Michała. Wszedłem cicho po schodach i zatrzymałem się pode drzwiami. Słychać było rozmowę. Zadzwoniłem. Drzwi się uchyliły, — zostałem poznany i wciągnięty do środka. Kilka ramion zaczęło mię dusić, kilka par rozpoczynających karyerę wąsów i kilka wątpliwych bród muskało mię naraz po twarzy. Był Piotruś, Migdał, Knajpofilus officinalis, Dżibbennosah czyli Natan Duch Puszczy, Walery i Michał. Ściągnęli ze mnie szynel, z wielkiej gościnności zanieśli i powalili na łoże, wszyscy sześciu usiedli przy mnie, a raczej na mnie i zaczęli *pyskować*, opowiadać, wypytywać się, podziwiać moje buty, szarawary, mundur, naszywki i całość szczęk oraz zębów.

— No a cóż Janek? — przerwałem te głupstwa.

— A tobie co do Janka, *soldat?* — rzekł Walery. Janek jest tęgi frant, jak zawsze. Na dziesięć dni przed skandalem zwąchał pismo nosem, wszystkie ślady za sobą, jak lis, ogonem zatarł, a teraz podobno same anegdoty opowiada.

— Ty właśnie wierz, co on opowiada, — przerwał mu ponuro Dżibennenosah. — Sprawa Janka źle stoi — to niema co w bawełnę obwijać.

— Ja myślę, że źle stoi, bo ten chuderlawiec po upływie roku będzie miał typowo piękną gruźlicę, a może i kopyta wyciągnie — rzekł Piotrek.

— Słuchajcie... — zacząłem. — ale dalszy ciąg patetycznej mowy jakoś nie chciał wyleźć mi z gardła.

Michał, zaparzywszy herbatę zbliżał się właśnie i z ciekawością słuchał, co powiem. Zdawało mi się w owej chwili, że mądre i spokojne oczy tego matematyka widzą wszystkie moje myśli i że uparte ich wejrzenie waży mię na niewidzialnaj szali.

— Ja, uważacie, jestem zdrów, jak koń meklemburgski, jestym wygimnastykowany...

cyganów, trzecie ciężkie uszkodzenia ciała, które ułatwia noszenie za pasem krótkich ale ostrych noży; czwarte nareszcie miejsce zajmuje usiłowane albo też dokonane, przekupstwo taksatorów podatkowych, będących czysto lokalnym objawem. —

Rzeczą niezmiernie charakterystyczną jest istnienie całkiem odrębnych sądów mahometańskich, tak zwanych sądów szeriatskich, w których zasiadają mahometańscy sędziowie, zwani kadjami, dla nich zaś alfą i omegą mądrości prawnej jest nie kodeks, a rozumie się koran. Do kompetencyi kadjów, czyli sądów szeriatskich należą sprawy familijne, małżeńskie, rozwody, wreszcie sprawy spadkowe do wręczenia spadku włącznie. Rząd protegujący bardzo i popierający żywioł mahometański zachował sądy szeriatskie, bo pozostają one w ścisłym związku z religią, bardzo gorliwie przez wysoce konserwatywnych Mahometan wyznawaną. Wprowadza to pewne zamieszanie w spory sądowe, sprawia wiele trudności nie mahometańskim adwokatom, zmuszonym uczyć się przepisów Koranu, ale zadowala wyznawców ałłaha, którzy więc łatwiej z nowym losem się godzą, a jednakże i tak do Małej Azyi emigrują. Z tego samego jeszcze zakresu zasługuje na uwagę fakt, że rząd okupacyjny założył w Senicy wzorowy zakład karny, systemu celkowego, jakiego nie ma zresztą w całej Austryi. Tymczasem jest on chyba nie tak bardzo potrzebny, bo wszyscy bez wyjątku, adwokaci czy urzędnicy polityczni, oddają sprawiedliwość ogromnej łagodności i spokojnemu usposobieniu ludu wiejskiego w Bośnii i Hercegowinie, gdzie o wiele większe istnieje bezpieczeństwo, niżeli w tak zwanych krajach cywilizowanych.

Tak więc wyglądają mniej więcej stosunki sądownicze w prowincyach okupowanych.

IV.

Najdonioślejsze pod względem społecznym i ekonomicznym są stosunki agrarne Bośnii i Hercegowiny, którym też parę słów poświęcić należy.

Przedewszystkiem muszę na samym wstępie czytelników objaśnić, że własność ziemska podzielona jest tak samo, jak za czasów tureckich na pięć kategoryi. I tak pierwszą stanowi własność prywatna, to jest ziemia pod domami i zabudowaniami, dalej tworząca podwórza i ogrody, ale tylko w miejscach zamkniętych jak wsi i miasta. Następnie cała ziemia uprawna jest własnością państwa albo rządu, który oddaje obywatelom jedynie prawo używalności powierzchni, to znaczy, że posiadający to prawo używalności może orać, siać i zbierać, ale w razie odkrycia soli, kruszczów lub węgla nie ma prawa tego eksploatować, bo wszystko należy jedynie do państwa. Trzecią kategoryę stanowią tak zwane własności wakulskie, czyli fundacye religijne; czwartą, własność publiczna, to jest drogi, place, szosy i t. d., nareszcie piątą nieużytki, nie należące do nikogo. Jeżeli zaś kto nową część ziemi uprawi i uczyni ją dla rólnictwa przydatną, to staje się ona własnością państwa, które nadaje prawo używalności powierzchni. Rozumie się, że ścisłe określenie tych kategoryi własności jest niemożliwe, stąd liczne nieporozumienia i wielkie zamieszanie w stosunkach pierwszorzędnego znaczenia. Teraz dopiero przeprowadza się księgi gruntowe, a wykonywane pomiary i mapy przyczynią się zapewne do uregulowania i ustalenia pojęcia własności.

Cała prawie rola uprawna znajdowała się za czasów tureckich w rękach mahometańskiej szlachty krajowej i pozostała ich własnością po okupacyi także. Obok szlachty — to znaczy wielkich właścicieli istniała mała ilość włościan, posiadających swoją rolę. Reszta stanowiła klasę kmetów, którzy otrzymywali od szlachty, czyli spahiów ziemię jako wieczystą dzierżawę, uprawiali ją, a spahiom byli obowiązani płacić trzeciznę, czyli trzecią część zebranego zboża, połowę siana i dziesiątą ogrodowizn. Urządzenie to zatrzymał rząd austryacki i po okupacyi, nie chcąc rujnować mahometańskiej szlachty, czyli spahiów. Dzisiaj stosunek między spahią a kmetem jest o wiele gorszy niż za rządów tureckich, bo dawniej był to stosunek patryarchalny, spahia dbał o swoich kmetów, pomagał im przy uprawie roli, pożyczał bydła, dawał na zasiew, w razie nieurodzaju nie wybierał trzeciżny, a dzisiaj cała względność zginęła i spahia wymaga nielitościwie tego, co mu się z prawa należy, wskutek czego położenie kmeta stało się bardzo uciążliwe. Ażeby należycie stosunek spahiów do kmetów zrozumieć, dodać jeszcze należy, że poddaństwo osobiste nie egzystuje, bo kmet nie jest własnością szlachcica; że choć kmet nie jest posiadaczem ziemi i sprzedać jej nie może, to jednak ma prawo wieczystej dzierżawy, dziedziczne w linii męskiej. Spahia może opieszałego kmeta zmusić do pracy, a nawet w razie uporu zupełnie go z gruntu usunąć, co się bardzo rzadko zdarza, bo rząd stara się wszelkiemi siłami godzić zwaśnione strony. Jeżeli spahia zamierza sprzedać swoją ziemię, to obowiązany jest ofiarować kupno w pierwszym rzędzie uprawiającym ją kmetom, a jeżeli ci w obec władzy oświadczą, że jej kupić nie chcą lub nie mogą, wtedy dopiero wolno spahie sprzedać grunt komuś ze szlachty, to jest begowi albo adze.

Ponieważ spahiowie gospodarować nie umieją, żyją nad stan i zadłużają się, przeto coraz częściej zdarza się, że szlachta wystawia swą własność na sprzedaż, a wówczas rząd pomaga kmetom do kupna roli, udzielając pożyczki do połowy wartości. W ten sposób wielu już kmetów usamowolniło się, a rząd ma nadzieję, że taki powolny proces ekonomiczno-społeczny zmieni zupełnie w krótkim czasie smutne dzisiaj stosunki agrarne. Jeżeli właściciel nie ofiaruje kupna ziemi kmetom w pierwszym rzędzie, to mogą dochodzić swych praw sądownie w terminie sześciomiesięcznym. Kmet może się więc wykupić, jeżeli spahia na to przystanie, co oczywista zależy od jego położenia finansowego. Ponieważ zaś spahiowie zadłużają się i ciągle gotówki potrzebują, przeto często kmetowie wykupić się mogą. Zdarza się atoli i tak, że kmet wykupiwszy się nie może sobie sam dać rady i wówczas sprzedaje się znowu, ale wtedy spahią nie staje się Mahometanin, a zazwyczaj prawosławny Serb, trudniący się handlem i posiadający spryt do operacyi finansowych. W ten sposób szlachecka klasa mahometańska (begowie i agowie), stanowiąca w Bośnii i Hercegowine stronnictwo rządowe, upada ekonomicznie, bankrutuje, a podnoszą się Serbowie wcale nowemu porządkowi rzeczy nie sprzyjający.

Na zakończenie dodać muszę, że tak wolni włościanie jak Kmetowie, stanowią zadrugi, to jest uprawiają wspólnie ziemię; na rozwiązanie zadrugi musi się zgodzić nie tylko spahia ale i władze polityczne.

Przyjrzyjmy się teraz innym ciężarom biedny lud Bośnii i Hercegowiny gniotącym. —

(D. c. n.)

Przegląd prasy słowiańskiej.

Młodosłowiński „*Slovenski Narod*“ poświęca w 36 letnią rocznicę zwołania pierwszego wiecu słowińskiego w miejscowości Wiżmaryjach, który się odbył pod gołem niebem i w którem wzięło udział 30 tysięcy Słoweńców, artykuł wstępny pod tytułem: „Ob pet in dvojsetletnici tabora na Vižmarjih.“

„Dziś minęło właśnie 25 lat, kiedy się odbył największy wiec słowiński. Przypomnijmy sobie na chwilę ten ruch wiekopomny, jaki zapanował wśród Słowińców, ów zapał i chwile uniesienia patryotycznego. Odtąd to poczęli Słowińcy używać praw im przynależnych. Pierwszymi, którzy pod sztandarem narodowym stanęli, byli bracia nasi styryjscy górale. Zeszło

---

zaciąłem się znowu.

— Ależ tak — jesteś wygimnastykowany, — mówił Michałek, gryząc mundsztuk papierosa. I cóż dalej? O co ci chodzi?

— Chodzi mi o to, że Janek, przypuszczam, ma wszelkie dane po temu, aby mógł pracować z wielkim pożytkiem, jeśli go się uwolni...

— Naturalnie, — jeśli go się uwolni.

— Powiadacie sami, że zatarł wszelkie ślady. To znaczy, że dotychczas ciążą na nim wszelkie podejrzenia, które możnaby skierować na kogoś, kto przetrzyma...

— No i ty niby...

Dżibbennenosah parsknął śmiechem, wstał i, wywijając pięściami, zaczął mi wykładać:

— Równałoby się to postępowaniu trznadli, których gniazdo wyżeł zwąchał i wystawia. Wiadoma rzecz, że stara trznadlica rzuca się wtedy prawie psu w paszczę, trzepie skrzydłami, wrzeszczy, zupełnie jakby wołała: oto ja jestem winna! oto mię masz! Można, widząc taką scenę, rozedrzeć szaty z rozczulenia, a z rozmyślania nad ogromem miłości w przyrodzeniu dostać rozmiękczenia mózgu, ale nie należy podobnej metody stosować w naszem życiu.

Janek — albo skapieje i wtedy, — trudna rada, — damy mu tylko wiekuiste dobre wspomnienie, albo wszystko przetrwa i wtedy będzie z niego prawdziwy człowiek. Nie pierwszy on i nie ostatni, ale ty, trzeba ci to przyznać, jesteś najpierwszy baran, jakiego zdarzyło mi się widzieć w tym kraju. Znakomity obywatel! On sam pójdzie do szlachtuza i powie ze skromnością: zakłujcie mnie, panowie rzeźnicy, zamiast tamtego, pełnego nadziei baranka, albowiem... Zrozumże dobrze, że ciebie zamkną, a tamtego jeszcze lepiej przymkną, bo znajdą pierwszą nić, łączącą was obu. *Poniał?*

— Wygłaszasz myśli sparciałe, jak stara rzepa i obawiasz się jeszcze, że nie zostaniesz dokładnie zrozumiany, — odpowiedziałem niedbale. Zamiast naradzić się nad sposobem wykonania planu...

— Któż tu może radzić o absurdzie, mój kochany? To jest głupstwo, może bardzo szlachetne, ale tylko głupstwo. Niema żadnego środka na przeprowadzenie takiego interesu....

— Jest środek! — zawołałem z (dobrze rzecz malującem) uniesieniem. Dość będzie, jeśli Janek, po prostu w protokóle mnie wymieni. Nie ja, lecz wy rozumujecie, jak marzyciele materyaliści. Powinien być podział pracy i podział cierpienia! Pozwolić, aby zginął w zapomnieniu taki, co samotny na ramionach góry nosił z miejsca na miejsce, za stu pracował o głodzie i pośród śmiechu plugawców, — według mnie świadczy nietylko o egoizmie, ale nadto o niedomyślności, o ślepocie!

— Mój ty, Mucyuszu Scevolo, — rzekł Michał, obejmując mię za szyję.

— Moja ty, mąko z cebulą, — mówił knajpofilus, — wpadasz w entuzyazm, sądząc, że taki powinien być podział pracy i, jeżeli już chcesz koniecznie, ten podział cierpienia. Daleko logiczniej postąpi, kto będzie dobrze naśladował Janka w pracy i wytrwałości. Powtarzam te słowa: — w pracy i wytrwałości. Dla mnie był on rzeczywiście tylko idealnym wykonawcą swych pięknych urojeń.

— Aż urojeń! — zawołałem szyderczo.

— Tak, — zaczął znowu Dżibbennenosah, bo ostatniemi czasy ten facet licho wie dokąd zawędrował. Pokumał się z patryotyzmem i na każde żądanie miał gotowy wykrzyknik: niech żyje Polska! Ja tam nie myślę obniżać jego zasługi, uchowaj Boże! Było to jego osobiste, sentymentalne wierzenie, ostatecznie nawet nie szkodliwe, aleć zawsze my powinniśmy traktować te rzeczy bardzo ostrożnie. Nigdy dosyć tego powtarzać nie można, że owe Polski, ojczyzny, narody i t. d, grożą nam rozpłynięciem się w jakichś dążeniach klas najrozmaitszych, zbitych w jedną bezmyślną kupę. Janek nie pojmował dokładnie egoizmu klasowego. Zawsze miał na ustach swoje „społeczne etyki“...

— No — nie wydziobuj mu tak znowu zupełnie oczu... po śmierci.... szepnął z ironią Michał.

Kiedy Dżibbennenosah mówił to wszystko, czułem w sobie utajoną radość, radość niezmierną, że mam pretekst do uwolnienia się od powinności. Wiedząc doskonale, że kłamię, kłamałem

ich się 80 tysięcy, a tego samego roku poszli za ich przykładem Słowińcy w Żalcu, dokąd się zeszło 14 tysięcy ludu, dalej w Szempasie, w Gorycyi, gdzie ludu zgromadziło się 10 tysięcy.

„Wiece te były najwymowniejszym dowodem tego, że lud słowiński obudził się ze snu obojętności i poczuł się jednym narodem. Wkrótce po tych dwóch wiecach, odbył się wiec w Siewnicy, w Styryi, a oczywiście, my w Krajnie nie pozostaliśmy poza naszymi braćmi i zwołano wiec do Kalca pod Zagorjem, gdzie zgromadziło się 10 tysięcy ludu; odbył się tam równocześnie pierwszy zjazd śpiewaków słowińskich.

„Najwspanialszym jednak był przebieg wieca na Wyzmarjach. W sercu ziemi słowińskiej, w białej Lublanie był pamiętnym ów poniedziałek, zkąd w dniu tym wyruszył olbrzymi tabor ludu, wraz z okolicznemi deputacyami do Styryi. Wiecowników witano we wszystkich miejscowościach z zapałem niesłychanym, wszędzie się do pątników przyłączano. Tak długiego taboru wozów nie widziała Lublana, były tam powozy strojne we flagi o barwach narodowych, wozy drabiaste ubrane w zieleń i girlandy, które żwawo pomykały ulicami. Na czele tego taboru jechali Sokoli na koniach ze swemi sztandarami. Gdy tabor dojeżdżał do granic Styryi naliczono wozów 1500. W pierwszy dzień obrad zliczono uczestników na 30 tysięcy głów. Setkami dochodziły drużyny braci naszych z Przymorza, Chorwacyi i Tryestu.

„Pierwszym punktem obrad była kwestya, jakim sposobem wzmocnić poczucie narodowe wśród ludu słowińskiego, drugim zespolenie i zjednoczenie wszystkich Słowińców, dalej uchwalono rezolucye, domagające się zaprowadzenia wykładowego języka słowińskiego w szkołach wyższych i niższych. Z 30 tysięcy gardzieli zabrzmiał okrzyk: „„Složimo se! Živela zjedinjena Slovenija!“ Mówców słuchano z wielką uwagą, byli nimi ojcowie naszego ruchu narodowego: Walenty Żarnik, Józef Woźniak, dr. Jakób Razlag, dr. Janez Bleiweis i inni. Wielu już kryje dziś mogiła.

„Dziś mówi się u nas: doba wieców już minęła. Prawda, że w czasach następujących ucisku rządy zakazały wieców pod gołem niebem. Dawniej względniej się z nami obchodzono. Ale i dziś byłby czas odpowiedni, aby znowu jednogłośnie tysiące wiecowników słowińskich zaprotestowały przeciw temu co się dzieje, przeciw krzywdom i uciskowi naszego narodu...“

* * *

Słowackie „*Narodnie Noviny*“ poświęcają pod nagłówkiem: „Szkolské biedy“ panującym na Węgrzech stosunkom szkolnym takie uwagi:

„Biedna ta młodzież!

„Nietylko, że jej się nie wychowuje, ale i nauka jest bez wszelkiej wartości. Polityka rozpoczyna się już w pierwszej klasie elementarnej szkoły. W średnich wiekach uczono języków starożytnych, nie mających na oku wydzierania mowy ojczystej, języków mających w nauce znaczenie, ale dziś uczą nas języka potomków Atyla. Dzisiejsza młodzież zaniedbana przez szkołę, moralnie zdziczała i stala się w obyczajach swych surową. Już policya nie starczy, ażeby zapanować nad ulicą, trzeba na to bagnetów i wojska. Nauka i wiedza mają uszlachetniać, a one naopak budzą dzikie instynkty.

„Profesorzy uniwersyteccy skarżą się na młodzież, jako na niepoprawną. Nasze uniwersytety są pod wszelką krytyką, nauka straciła u nas na powadze, zyskał tylko język madziarski. Ta „madziarczina“ ma dziś wynagrodzić wszystko, języki grecki, łaciński i niemiecki. Jest u nas tak, że tylko prywatnie mogą się uczniowie kształcić w poszczególnych gałęziach wiedzy, bo madziarska literatura nie posiada jeszcze dzieł naukowych. Zresztą przeważają wszystko względy chleba. Wszelki idealizm dziś znika, młodzież myśli tylko o tem, aby otrzymać posadę, na której przy małej pracy można odgrywać rolę pana.

„Wyrostek marzy o płacy, mającej starczyć na wielkopańskie zachcianki. Tym sposobem szkoły dzisiejsze wychowują nam niewolników materyalizmu najniższego.

„Niższe szkoły stały się u nas fabrykami, które produkują proletaryat, nie szanujący nikogo, bojący się pracy. Szkoły te tworzą niedouków z pretensyami Bóg wie jakiemi, a odbierają materyał rzemieślnikom i kupcom.

„I niema ztąd drogi wyjścia i pomocy! Stosunki takie doprowadzą nasz kraj do żebractwa duchowego i materyalnego....“

* * *

„*Il Pensiero Slavo*“ omawia książkę, którą napisał uczony chorwacki Modrić w języku włoskim p. t. „La Russia Contemporanea“:

„Rosyanin ma z natury pociąg do mistycyzmu. Myśl boskości, nieskończoności i absolutyzmu owładła całkiem poetami rosyjskimi, dowodem tego Gogol, Dostojewski i Tołstoj.

„Naród rosyjski upatruje we wrogu swojej religii wroga narodowości.

„Rosyanin nie ma usposobienia narodu potulnego. Jest on z natury żywym, ruchliwym i gwałtownym.

„W literaturze narodowej biedni i uposażeni odgrywają rolę najważniejszą.

„Kobiety rosyjskie są może najbardziej z kobiet wszystkich innych narodów wykształcone.

K.

LITERATURA I SZTUKA.

KAZIMIERZ TETMAJER.

POD WRAŻENIEM.

Kiedy na oczy srebrno-szafirowe
Spuści powieki i na wznak upadnie
I leży miękko, sennie i bezwładnie,
Lekko schylając ku ramieniu głowę, —

A płomień gazu, co nad nami płonie
Półnagą stroi ją w światła i cienie,
I ledwo znać jej białej piersi tchnienie
Widnej w przejrzystych koronek osłonie:

Wówczas ma w sobie taki urok boski
I takie dziwne piękności i czary,
Że, zda się, jakiś malował ją stary,
Anioły w duszy noszący mistrz włoski.

ZAWÓD.

Wykołysałem cię wśród fal
Mych snów, jak limbę gdzieś nadwodną,
Śniłem cię cichą i pogodną — —
Ah! Jak mi żal, jak żal...

Na zieloności sennych hal,
Gdzie wiatr błękitne mgły rozpina,
Byłaś mi, dziewczę, tak jedyna — —
Ah! Jak mi żal, jak żal...

---

wobec własnego sumienia, a daleko wyraźniej i z większem wrażeniem wobec tych młodzieńców. Odegrałem rolę wahania się, rolę łez w oczach, żalu, namysłu, może nawet rolę rozpaczy.

Rozmowa się ucięła. Piliśmy herbatę i rozmawiali o rzeczach obojętnych. O godzinie dziesiątej poszedłem do hotelu i zanocowałem w numerze u Rogowicza. Ten ostatni, jak się okazało nazajutrz, w sprawie zupełnie dla niego obojętnej zrobił ile tylko było w jego mocy. Udał się do jakichś potężnych burżujów, łaził przez dzień cały i przyniósł na kaucyą dla Janka 150 rubli. Zanosił się od śmiechu, rozpowiadając jak to znajomi jego wydobywali mamonę w nadziei, że umożliwiają wyjazd do Davos choremu na suchoty studentowi. Pieniądze złożyłem u Michała z uczuciem Piłata, umywającego ręce — i, w obawie nagany z ust rotnego za przetrzymanie urlopu, następnego dnia wyjechałem z powrotem do Wieprzowodów. Wracałem sam, ponieważ Rogowicz, zajęty zbieraniem składki, zaniedbał swoje interesa i musiał jeszcze na dwa dni pozostać w Warszawie. Gdyśmy się rozstawali, wsunął mi w rękę pachnący list do narzeczonej i prosił o doręczenie go niezwłocznie po przyjeździe. Nie było rady — musiałem, wylazłszy z sanek, iść do państwa Kluckich. Na moje spotkanie wybiegła sama panna Marya. Oddawszy jej list, chciałem wynieść się w te tropy, — ale na to nie przystała. Musiałem wejść do salonu i zająć miejsce na fotelu. Pani Kłucka już spała, pana nie było w domu, byliśmy tedy sami w pokoju na pół oświetlonym jedną lampą. Śliczna panna przeprosiła mię uprzejmie za to, że list przy mnie odczyta, na co nawet nic nie odpowiedziałem, i zaczęła czytać. Zegar, stojący na bocznym stoliku szybko i jakby wesoło kołatał, ogromne topole, które otaczają ten dom, głucho huczały w zimowym wichrze, a w salonie tak było cicho, tak ciepło, tak jakoś zacisznie... Dobrze pamiętam te chwile!

Byłem nie tylko zadowolony, ale poprostu szczęśliwy. Napawałem się do syta pewnością, że jestem wyprowadzony na wolność, powrócony do życia — i tak mocno czułem wszystek jego czar, całą piękność. Byłem pełen dobroci, gotów do poświęceń i wszelkich ludzkich uniesień.

Narzeczona Rogowicza przeczytała list powoli, zmięła go z grymasem niechęci i schowała do kieszeni. Siedziała ślicznie rozparta w rogu kanapy. Jej przepyszne ramiona i talija w jedwabnym, czy atłasowym staniku odrysowały się na jasnem tle pokrowca tak wyraźnie.... Nie pamiętam jakim sposobem przesunąłem bez szelestu, po dywanie mój fotel do tego rogu kanapy i nie wiem w jakim celu zacząłem całować ręce panny Maryi, ręce tak białe i tak wypieszczone.

— Co pan robi, co pan robi?

Wówczas nachyliłem się nad białą szyją, którą liryczni poeci zupełnie słusznie nazywają lilijową i zacząłem, jak zwykli mawiać ci sami poeci, pić słodycz ustami pełnemi. Później, gdy jakiś szelest spłoszył sen upojenia, mówiliśmy, oczekując na następną chwilę pewności, że nikt nas nie widzi.

— Więc pan utrzymuje, że można broić będąc narzeczoną?

— Co za broić, jakie broić?

— Miłe złego początki...

— Ja myślę, że i dalsze ciągi są bardzo miłe.

— Według mnie narzeczona powinna być itd.

Gdy nauczając mię, jaką to narzeczona być powinna, pochyliła się, usta nasze po długiej pogoni i ucieczce spotkały się przypadkowo i nieumyślnie.

Z wesołym uśmiechem mówiła do mnie po upływie chwili:

— Dla czego stara się pan mię bałamucić?

— Nie mam żadnych danych do starania się o coś podobnego. Robię to tylko, co robią bezwiednie wszyscy zakochani do szaleństwa.

— Ile też razy w życiu powtarzał pan ten frazes?

— Pierwszy raz wymawiam go, aby dać świadectwo prawdzie.

— A panna Zapaskiewicz?

— Nie znam ani jednej panny Zapaskiewicz.

Wkoło szumiały smreki w dal
Jakiemś modleniem cichem, wiecznem —
Byłaś mi tam czemś tak słonecznem — —
Ah! Jak mi żal, jak żal.

Listy Wojciecha Cybulskiego
do
Wacława Hanki.

(1840—1847.)

Ogłosił
Edward Jellnek.

III.

Łaskawy Panie i Dobrodzieju!

Korzystam ze zdarzającej się sposobności, przesyłając Szanownemu Panu szczere pozdrowienie, które z początkiem przyszłego miesiąca będę miał przyjemność osobiście Panu powtórzyć; myślę bowiem około tego czasu Pragę na parę tygodni nawiedzić, aby posłuchać znowu nieco nauk i rad Patryarchów słowiańszczyzny i zabrać z sobą w powrocie potrzebniejsze do przyszłych zatrudnień książki. Oddawca listu jest pan Jagielski z Gniezna, uczący się obecnie na uniwersytecie Berlińskim i zwiedzający podczas feryi pobliższe słowiańskie krainy. Racz mu Pan nie odmawiać przystępu do świątyni narodowych pamiątek, której jesteś kapłanem i stróżem; wstępujący z winną czcią się w niej zachowa i będzie umiał cenić łaskawość pokazującego.

Nie piszę wiele, bo rozmowę o tem i owem do osobistego odkładam widzenia się. Racz Pan oświadczyć tylko szanownym Rodakom swoim i współpracownikom na polu ojczystej literatury przyjacielskie odemnie pozdrowienie i radość z bliskiego ich powitania. Chciej wreście przyjąć zapewnienie wysokiego poważania, z jakim zaszczytnie mi zawsze zostawać

Szanownego i łaskawego Pana
i Dobrodzieja.

Cybulski.

Berlin, dnia 22 sierpnia 1841.

IV.

Łaskawy Panie Bibliotekarzu!

Jestem w Czechach — w Egern — czyli raczej we Francensbrunn; nie mogę pominąć sposobności tej, abym szanownemu panu nie przesłał serdecznego pozdrowienia. Pan Zappa, obywatel z Litwy, jest oddawcą listu tego — racz pan Dobr. ze znaną uprzejmością swoją pokazać mu osobliwości Muzeum. Przesyłam Panu zarazem małą książeczkę, która świeżo wydaną była w Berlinie — jako maleńki datek wzajemności, której pan Dobr. Braciom naszym tyle dajesz dowodów. Wybrałem się tylko na kilka dni, dla widzenia moich znajomych — nie mogę zatem mimo chęci odwiedzić kochanych Prażan, bo chciałbym jeszcze dojechać do Monachium, którego nie znam. Potem wracam wprost do Berlina. Wszystkim znajomym racz pan oświadczyć przyjacielskie pozdrowienie z prośbą, aby mnie tyle tylko w części kochali — ile ja ich całem sercem i duszą.

Z prawdziwem uszanowaniem
Łaskawego Pana
przywiązany przyjaciel
i sługa
Cybulski.

Dnia 20 sierpnia 1842.

V.

Łaskawy Panie Bibliotekarzu!

Najśliczniej dziękuję za przysłania mi tak pięknego, troskliwego i pożytecznego wydania egzemplarzy królowodworskiego rękopismu, który tem więcej jest mi miłym, że w następnym letniem półroczu czytać i wykładać będę jego cudowne pieśni. Stósownie do listu pana Safarika posyłam pod pańskim adresem dalszy ciąg pism czasowych ruskich i polskich. Jest nie do pojęcia, jak późno poczta nawet pisma te z Petersburga nadchodzą. „Żurnalu ministerstwa nar. oświecenia“ posyłam 3 numery z miesięcy Augusta, Septembra, Oktobra; „Żurnalu ministerstwa spraw wewnętrznych“ 2 numery z Januara i Februara — więcej nie nadeszło. „Orędownika naukowego“ 10 numerów, aż do końca zeszłego roku. Nadto w podarunku posyłam *Piasty*. Kursa słowiańskie bardzo dobrze mi idą; coraz więcej obudza się tu dla wspólnej literatury naszej interesu. Usiłowania i prace uczone Czechów imponują Niemcom, którzy nareście poznali i przekonali się, że pole literatury naszej nie jest tak puste, za jakie je dotąd uważali. Przybyło mi pracy: zostałem nauczycielem języka polskiego w królewskiej Allgemeine Kriegsschule, do której uczęszczają sami oficerowie. Król Imość postanowił, aby prócz języka francuzkiego, niemieckiego, język także polski był w niej przedmiotem naukowym. W świcie królewskiej, w głównym sztabie, w korpusach armii mają się znajdować oficerowie, którzyby dobrze znali język polski. Dotąd ledwoby kilku w całem wojsku policzył. W Poznaniu na sejmie wniesiono petycyą o utworzenie uniwersytetu tamże. Rzecz ta podlegać będzie wielu trudnościom, nim przyjdzie do skutku. Tymczasem ma się zawiązać w Poznaniu jeszcze w tym roku Towarzystwo naukowe. Pracują także nad otworzeniem teatru narodowego, którego gwaltowna czuć daje się potrzeba. Zdaje się, że plan ten w tym roku jeszcze przyjdzie do skutku. Dotąd tylko krakowscy, lwowscy, lub warszawscy artyści w czasie kontraktów św. Jańskich grywali narodowe sztuki, a i to nie każdego roku. Tu i owdzie bywały amatorskie przedstawienia. Wychodzi w Poznaniu nowe pismo w nieoznaczonych zeszytach, pod tytułem „Rok“, do którego ja się przykładam sprawozdaniami o literaturze słowiańskiej. Wyszły dwa numery. Tylko całkowite uczone rozprawy mogą być w nim umieszczane. Moraczewski wydał „Historyą panowania Piastów“, dzieło nie bez wartości“, z innego, jak dotychczasowi historycy okres ten stanowiska uważając. *Dr. Liebelt*, główny kiedyś współpracownik „Tygodnika literackiego“, teraz piszący do „Roku“, wydał pierwszy tom Estetyki. Hr. Działyński wydawać będzie nowy czasopism, w majątku swoim Kurniku, poświęcony szczególnie starożytnościom polskim i bibliografii. Posiada on bardzo bogatą prywatną bibliotekę, zamożną w rzadkie rękopismy. Bibliotekę tę ma zamiar przenieść do Poznania i otworzyć ją na korzyść publiczną.

Załączone listy racz pan łaskawie wręczyć podług adresu. W liście do Kronbergera*) są pieniądze za przysłane mi książki. Proszę go w nim o przysłanie mi kilku egzemplarzy nowego wydania Król. Ręk., które mi przy czytaniu kursu dla słuchaczy będą potrzebne.

Z prawdziwem poważaniem mam zaszczyt zostawać

Łaskawego Pana Dobrodzieja
uniżonym sługą i przyjacielem
Cybulski,
(Werder-Rosenstrasse Nr. 1.)

Berlin, 12 kwietnia 1843.

P. S. Serdeczne ukłony Braciom Czechom. Życzę dobrych świąt.

*) Kronberger, księgarz ówczesny w Pradze.

— Ach, panie, panie! Ciekawam wyrazu twarzy mojego narzeczonego, gdyby przypadkiem widział to wszystko.

— To znaczy: idź już brunecie do koszar?

— Niech mię pan nie gniewa! Muszę przecież myśleć o tem, co zrobić, gdyby ojciec powrócił z objazdu i zobaczył przez okno taką oto scenę.

— Cóżby pani zrobiła?

— To moja tajemnica. Ale czem ja jestem dla pana w takim razie?

— W jakim razie?

— Pan wcale nie wie, zupełnie nie wie, co się tu wyrabiało przed chwilą?

— Wiem tylko, co się tu będzie wyrabiało za chwilę, gdy usłyszę, że nikt nie nadjeżdża...

— Boże, Boże! Czem ja dla pana jestem?

— Jakto czem? No, rozumie się, że aniołem.

— Aniołów nie całuje się w usta...

— To być nie może! Gdzieżby się w takim razie całowało aniołów? A zresztą przecie jak wół stoi napisane...

— Nie wolno! Słyszysz pan?

— No jużci słyszę. I nie tylko słyszę, ale nawet nie rozumiem. Bo proszę pani...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

AUGUST STRINDBERG.

DZIEJE MAŁŻEŃSKIE.

(Tłum. **Empa.**)

(Dokończenie.)

Parowiec był tak przepełniony, że profesor musiał stać przy kominie, co w takim upale, jaki dziś panował, wcale przyjemnem nie było. Ale co gorsza, nie ujrzał ani jednej znajomej twarzy! Przybywszy na Hasselbaken usiłował nadać swej twarzy wyraz obojętny i wytworny, i trzymać się prosto i wyniośle. Wielki plac przed sławną restauracyą był w tej chwili podobny do sali teatralnej, i zdawał się mieć takie same przeznaczenie — było to zbiorowe miejsce wszystkich tych, którzy chcieli się pokazać. W głębi, na wywyższeniu, siedzieli oficerowie o sinych twarzach od zbytecznego jedzenia i picia; obok nich kilku przedstawicieli obcych państw, zmęczonych natężoną pracą, jaką im sprawiało opiekowanie się swoimi ziomkami, którzy w porcie wszczynali kłótnie i bijatyki, albo też wracali podchmieleni z przedstawień w teatrze, lub z chrzcin, ślubów albo pogrzebów i t. p. uroczystości. Niedługo też zaczęła się wykwintna publiczność zwolna usuwać, na środku placu zauważył profesor kominiarza z Ladugardslandet wraz z całą rodziną, dalej prowizora z apteki „Pod Jeleniem“ i t. p. Pomiędzy wszystkimi zgromadzonymi przechadzał się portjer, ubrany w zieloną liberję z srebrnemi sznurami i trzymał w ręku złoconą laskę. Z pogardą patrzał on na tych prostych ludzi, jak gdyby ich chciał zapytać, czego właściwie chcą, bo to nie jest stósowne miejsce dla nich!

Liczne spojrzenia jakie się zwracają na profesora, gniewają go niezmiernie, zdają się one bowiem mówić: „Otóż ten pan chciałby chętnie zjeść dobry obiad!“ Idzie więc na werandę i widzi, jak rozmaici goście jedzą liny i szparagi i piją Sauterne i szampana. I nagle — czuje, że jakaś przyjacielska ręka dotyka jego ramienia, i obracając się, spostrzega kelnera Gustawa z rozpromienioną twarzą — otrzymuje serdeczny uścisk dłoni, i słyszy wesołe pytanie:

— Cóż to, pan profesor tutaj? Jakże się pan miewa?

Kelner Gustaw, który się tak cieszył, że przez chwilę stoi na równi ze swoim panem, czuje kawał drzewa w swej ciepłej dłoni, i spotyka spojrzenia, które zdają się wychodzić z pudełka, napełnionego szpilkami. A ta twarda ręka wsunęła wczoraj dopiero tak miękko w jego rękę bilet dziesięciokoronowy, i serdecznym uściskiem dziękowała za półroczną usługę! To też Gustaw usuwa się natychmiast, i zmieszany

Literatura dramatyczna.

Labor: Węzeł gordyjski. Komedya w pięciu aktach. Kraków 1894.

Gdyby mnie zapytano, czy utwór p. Labora uważam za dziecko *dojrzałego* pisarza, nie mógłbym odpowiedzieć inaczej jak twierdząco; gdyby jednakże do pytania tego dodano, czy p. Labora uważam za dojrzałego pisarza *scenicznego* — musiałaby odpowiedź wypaść przecząco. Komedya bowiem p. t. „Węzeł gordyjski“ o której właśnie mowa, posiada wszelkie zalety, znamionujące owoc sumiennych i gruntownych badań nad kwestyę w niej przedstawioną, zarazem jednak posiada tyle błędów technicznych, że niepodobna przypuścić, aby wyszła z pod pióra rutynowanego i doświadczonego komedjopisarza.
Tak się też rzecz ma w istocie. Pod pseudonimem Labora ukrywa się jedna z wybitniejszych u nas powag pisarskich na polu... nauk ekonomicznych. Autor, znany z całego szeregu wybornych rozpraw i artykułów treści społeczno-ekonomicznej zapragnął widocznie jedno z zajmujących go zagadnień, kto wie czy nie najsilniej go obchodzące, rozpatrzeć nie ze stanowiska uczonego badacza, któremu ani na chwilę nie wolno zrzucać ze siebie skorupy „przedmiotowego“ obserwatora, ważącego na szali swojego rozumu i nabytego doświadczenia, każdy szczegół i kwalifikującego każdy fakt do przynależnej kategoryi, ale z punktu widzenia zwykłego, czującego śmiertelnika, który to, co go uderza lub boli, wypowiada w formie wyznania, nie dbając o ścisłą „przedmiotowość“ swego poglądu. Labor w komedyi swojej pokusił się o przedstawienie jednej z najdrażliwszych u nas kwestyi — a mianowicie stosunku inteligencyi żydowskiej.
Starą i piekącą sprawę ujął tedy ze stanowiska — zdaniem mojem — najpraktyczniejszego, choć nie oryginalnego; o wiele bowiem wcześniej od niego tę samą sferę stosunków społecznych przedstawić usiłowali na scenie: E. Lubowski w swoim bombastycznym dramacie „Żyd“, Asnyk w romantycznej podobnież zatytułowanej, ale i również pozbawionej realnego podkładu tragedyi, w końcu, że pominę wielu innych — K. Zalewski w „Małżeństwie Apfel“. Wszyscy ci pisarze poszli ślepo za wspaniałym wzorem, jaki pozostawił Korzeniowski w „Żydach“, nie dziw też, że bohaterowie ich utworów są tylko mniej lub więcej udatnemi podobiznami osób, występujących w znakomitej komedyi autora „Kollokacyi“.
Najwięcej atoli zbliżoną jest komedya Labora pod względem treści do „Małżeństwa Apfel“ Zalewskiego. I tu i tam ten sam konflikt uczucia z przesądem opinii „towarzystwa“; różnica tkwi tylko w rozwiązaniu i szczegółach. Jakób Retman, adwokat, żyd z pochodzenia, jest przedstawicielem młodej generacyi inteligentnych warstw żydowskich. Jestto jednostka uspołeczniona, niczem nie różnica się od współziomków swoich innego wyznania, jak tylko wyznaniem; nie chcąca atoli znieść tej różnicy, aby nie stracić możności oddziaływania na całą masę ludności żydowskiej, którą pragnie wyprowadzić z ciemnoty do światła cywilizacyi. Przedstawicielką najsympatyczniejszego odłamu młodej inteligencyi chrześcijańskiej jest w komedyi Zofia, córka obywatela ziemskiego. Oboje młodzi, wspólnemi wspomnieniami dzieciństwa ku sobie zbliżeni, kochają się i wyznają sobie miłość, postanawiając węzłem małżeńskim utrwalić jej wzajemność. Ale naokoło tej idealnej pary żyje szary tłum istot poziomych, niezdolnych dostroić się do ich wysokiego poczucia słuszności i prawdy, a składający się przeważnie z geszefciarzy lub głupców. Zajście na balu u bankiera Kabenera, gdzie nikczemny półpanek policzkuje ujmującego się za honorem skrzywdzonej kobiety Retmana, a potem z szyderstwem odrzuca „wyzwanie żydowskie“, stawia temu nagle przed oczy całą przepaść dzielącą go od tej sfery, do której przez małżeństwo z Zofią musiałby wejść.

Aby uniknąć sromotnego upadku zwalnia narzeczoną swoją z danego mu słowa i wraca między „swoich“ pocieszać i nauczać lud nędzny i pozostawiony na łasce losu.

— Zakończenie to, zgodne może z rzeczywistością, ale stojące w rażącej sprzeczności z całą akcyą komedyi i psychologią głównych jej bohaterów, da się jedynie umotywać wzmiankowanemi powyżej czysto osobistemi względami autora. Jestto zresztą nie jedyny błąd sztuki, która grzeszy wadliwością układu i brakiem jednolitości. Mimo to jest utwór Labora dowodem wcale niepośledniego talentu autora także na polu beletrystycznem, a brak technicznego opracowania wynagradza w nim sowicie bogactwo rozumnych, a niekiedy i głębokich spostrzeżeń. W obecnej nadto chwili jestto utwór na czasie i już z tego względu zasługuje na poznanie.

Dr. J. Sue....

Hrabia Lew Tołstoj

o opinii publicznej i patryotyzmie.*)

(Wyjątek z dzieła: „Duch chrześciański i patryotyzm.)

Tłom. **H. S.**

„Rozpatrując się w przemianach, jakie przechodzi opinia publiczna od stu lat począwszy, zauważymy, że opinia publiczna klas wówczas kierujących, owa opinia, tolerująca niewolnictwo, tortury i t. p. katusze cielesne, uchodzi dziś za rodzaj legendy; i na odwrót — to, co ludzie przed wiekiem uważali za utopią — stało się dziś opinią bieżącą. Jeżeli zastanawiać się będziemy nad pewnym zastojem jej wobec wojen i dążenia do ogólnego pokoju — przekonujemy się, że ów zastój był tylko pozornym: nowa Rzeczpospolita francuzka i nowa monarchia włoska nie są tem, czem były rządy tego samego nazwiska, opierające się na opinii publicznej przed lat pięćdziesięciu; także i sentyment, jaki żywią obecnie ludy względem wojny, nie jest tym samym, jakim był przed pół wiekiem. Panujący, podwładni, wojny, podatki, przepych, nędza, religie jak katolicyzm, prawosławie ruskie, luteranizm — wszystko to istniało przed laty pięćdziesięciu, ale pojęcia o nich się zmieniły i zmieniają się codziennie. Wszystkie te poruszenia opinii publicznej uchodzą często naszej uwagi, jak niedościgłem dla naszego oka jest poruszenie się wody w rzece, gdy za jej biegiem idziemy — a to dla tego, że przemiany niedostrzegalne, z jakich składają się owe poruszenia opinii publicznej — rodzą się w nas samych. Ciągle naprzód i nie dać się pokonać — oto właściwość opinii publicznej. Nigdy ona nie może być taką, żeby służyć mogła za podstawę czynów człowieka przez pewien przeciąg czasu. Jest to niemożebnem, ponieważ ona nie zatrzymuje się nigdy. Mniemanie, jakobyśmy widzieli już kilkakrotnie zatrzymującą się dłużej na miejscu opinią publiczną jest zupełnie mylne. To tylko trup opinii publicznej!... to są jej popioły, — popioły, co znajdują się tam tylko, gdzie był ogień, któremu wygasnąć nie dozwalają. Opinia publiczna — to stara zwiędła trawa, co stoi na przeszkodzie młodej trawie i rozwijać się jej nic

---

*) Powyższy wyjątek z głośnej broszury przytaczamy jako ilustracyą interesujących, choć często jednostronnych poglądów znakomitego autora. (Przypisek Redakcyi.)

---

i upokorzony siada znowu obok swoich towarzyszy. Ale profesor rozgniewany idzie dalej, przeciskając się przez tłum ludzi, którzy zdają się wołać za nim: — „Nie dostał obiadu!“

Wkrótce znajduje się na placu zabawy. Tam stoi Kasper i bije swoją żonę, tutaj jakiś marynarz pokazuje kucharkom ich przyszłych mężów. Wszyscy „ci ludzie“ jedli obiad, wyglądają bardzo wesoło, i profesor sądzi przez chwilę, że jest gorszym od nich, ale przypomina sobie zaraz, że „ci ludzie“ nie wiedzą jednak, w jaki sposób ustawiali starzy Egipcjanie namioty wojenne, i nie pojmuje, jak można tak nizko upaść i bawić się takiemi marnemi rzeczami!
Tymczasem stracił już chęć zwiedzenia innych restauracyi, i przeszedłszy koło Tivoli i Singelbaken, zbliżył się do Novilli. Tutaj grał ktoś na skrzypcach, a młodzież tańczyła; — trochę dalej na trawie, w cieniu olbrzymiego dębu, rozłożyło się jakieś towarzystwo — była to widocznie cała rodzina jakiego kupca z przedmieścia. Ojciec, głowa domu zdjął surdut, zrzucił czapkę i zajadał z wielkim apetytem chleb z masłem i kiełbasą, popijąc przytem świeże, zimne piwo. Jego okrągła twarz, starannie ogolona, jaśniała szczęściem, gdy patrzał na swoich gości i domowników t. j. żonę, teściów, szwagrów, kupczyków, posługaczy sklepowych i służące, i cieszył się, że skromny posiłek, który przynieśli tu w koszykach, równie dobrze wszystkim smakował.
I wesoły jegomość sypał dowcipami, aż się całe towarzystwo ze śmiechu za boki trzymało. Później, gdy zaczęli jeść pączki i podawać sobie butelkę z winem, wygłosił najstarszy kupczyk długą mowę — już to w serdecznych, wzruszających słowach, które zmuszały kobiety do wydobycia chustek do nosa, już to w wesołych i dowcipnych, tak, że głośny śmiech przerywał mówiącemu. Wszystko to napełniło duszę profesora głębokim smutkiem, ale pomimo tego nie poszedł dalej — stanął za grubą jodłą na kamieniu, i postanowił przyglądać się „tym zwierzętom.“ Gdy mowa była skończona i gdy na zdrowie gospodarza i gospodyni grzmiące wzniesiono okrzyki, powstało całe towarzystwo do wspólnej zabawy. Teściowa zaś i matka usunęły się nieco na stronę, w celu poprawienia ubrań malców.
— Co za bydlęta, pomyślał profesor i odwrócił się; to, co było naturalnem, było w jego oczach brzydkiem, podczas kiedy to, co było pięknem, nie było naturalnem, z wyjątkiem sławnych arcydzieł w muzeum.
I widział, że młodzi mężczyźni zawijali rękawy od koszuli, a dziewczęta manikty zawieszały na gałęziach, potem ustawili się wszyscy długim rzędem, i z całym zapałem rozpoczęli gonitwy.
Dziewczęta uniosły tak wysoko spódnicki, że można było dojrzeć podwiązki, a jeżeli który z mężczyzn dogonił swoją damę, to obejmował ją tak ogniście, aż się suknia poruszała i nieomal kolana odsłaniała, wszyscy zaś wybuchali takim głośnym śmiechem, że aż echo w górach im odpowiadało.
— Czy to niewinność, czy korupcya? myślał profesor. Ale ci ludzie nie wiedzieli zupełnością, co znaczy uczony wyraz „korupcya“, i dla tego właśnie byli tak swobodni!]
Gdy się zmęczyli zabawą, zabrali się do picia kawy. Profesor nie mógł wcale pojąć, gdzie ci młodzi panowie nauczyli się takiej grzeczności względem pań.
— Oni są podobni do kogutów, które pragną się podobać kurom, pomyślał, uśmiechając się złośliwie, — ale poczekajmy jeszcze trochę — zobaczymy, na czem się to skończy!
I dziwił się w duszy, widząc, jak wesoły gospodarz obsługiwał teściową i teścia, nawet żonę, kupczyków i służbę, a jeżeli kto odmawiał, prosząc go uprzejmie, aby przecież o sobie nie zapomniał, wtedy odpowiadał również grzecznie, że na niego też jeszcze kolej przyjdzie!
Potem bawiono się w gry fantowe, i każdy fant musiał być wykupiony pocałunkami, prawdziwemi pocałunkami w same usta! A gdy najstarszy kupczyk „padł w studnią“, i musiał za to pocałować drzewo, to czynił to zupełnie tak samo, jak gdyby trzymał jedno z dziewcząt w objęciach, i naśladował wszystko tak dokła-

pozwala. Opinia publiczna zmienia się bez przestanku. Jeżeli nam się zdaje, że ona stoi na miejscu przez pewien przeciąg czasu — to dla tego tylko, że ludzie, których postawiła w chwili jednej na wybitne stanowiska, nie szczędzą wysiłków, żeby przedłużyć tę chwilę, żeby zetrzeć tę młodą, prawdziwą opinią publiczną, niewyrażoną wprawdzie w słowach jeszcze, ale już żyjącą w sercach narodu. Otóż ludzie ci, co wstrzymują opinią publiczną, co przetrwała czas jakiś, co nowej rozwinąć się nie dozwalają, — to są przedstawiciele rządu, przedstawiciele klas panujących, co głoszą, że patryotyzm jest nieodzownym warunkiem życia ludzkości. Potężne są wprawdzie narzędzia, jakich ku temu używają, ale ponieważ sprawa publiczna płynie i wzrasta ciągle na nowo, przeto narzędzia te są bezsilne. Stare pojęcia upadają, ustępując nowym, które się rozwijają i rodzą ponownie. Przywiedźmy sobie tylko na pamięć wiarę naszą i patrzmy na nią okiem chrześcianina i zarazem okiem człowieka teraźniejszego; przypomnijmy sobie tylko nasze prawdy zasadnicze, kierujące stosunkami naszemi względem społeczeństwa rodziny i nas samych i patrzmy równocześnie na stanowisko, na którem nas stawia patryotyzm — ujrzymy wówczas te rażące przeciwieństwa między wiarą naszą, a tem, co rządy nakazują nam uważać za opinią bieżącą. Dość wspomnieć sobie czyny, jakich wymaga od nas patryotyzm, uważając je za proste i naturalne, żeby przekonać się, jak bardzo owe czyny różnią się od opinii, przez nas obecnie podzielanej. — Uważamy się za ludzi wolnych, ucywilizowanych, za chrześcian, a mimo to, stoimy na takiem stanowisku, że skoro tylko Wilhelmowi nie spodoba się postępowanie Aleksandra, jakiś M. X. napisze artykuł wojowniczy o kwestyi wschodniej, książę jakiś spustoszy kraj Serbów lub Bułgarów, albo wreszcie cesarzowa lub królowa obrazi się o to lub o owo — wówczas my wszyscy, ludzie wolni, ucywilizowani, chrześcianie, pójdziemy mordować ludzi, dla których, jak dla całego rodu ludzkiego, żywimy przyjazne uczucia. Jeżeli się tak nie stało, to zawdzięczamy to jedynie „pokój miłującemu“ Aleksandrowi, lub też zaślubinom Mikołaja Aleksandrowicza z wnuczką królowej Wiktoryi. Lecz skoro tylko ktoś inny wstąpi na tron po Aleksandrze, lub on sam zmieni zapatrywania, lub wreszcie Mikołaj Aleksandrowicz ożeni się z Amelią, a nie z Alicyą — wówczas podobni będziemy do krwiożerczych zwierząt, rzucający się jedni na drugich i wyrywający sobie wnętrzności. Bo taka jest opinia bieżąca. Jeżeli nie podusiliśmy się dotychczas wzajemnie my, co jesteśmy chrześcianami od lat tysiąca, zawdzięczamy to jedynie Aleksandrowi III, który na to nie zezwolił. To okropność!

Patryotyzm!... Uczucie to — jest to po prostu oddanie pierwszeństwa swemu krajowi przed innemi. Charakteryzuje się ono znakomicie w piosence niemieckiej: „Deutschland, Deutschland ueber Alles“. Zamieńmy tylko „Deutschland“, na nazwisko innego państwa, to znowu mieć będziemy kompletną formułkę „patryotyzmu“. Być może, że uczucie to jest pożyteczne i bardzo pożądane dla rządów, dla utrzymania w całości państwa, ale to pewne, że uczucie to nie jest wcale wzniosłem, przeciwnie jest nierozumnem i niemoralnem. Nierozumnem jest dla tego, że każde państwo, przywłaszczając sobie pierwszeństwo przed drugiem, zawsze mija się z prawdą, niemoralnem zaś z tego powodu, że popycha każdego, co je uznaje, do żądzy zdobywania wszelkich zysków, na korzyść swego własnego kraju i ziomków, z uszczerbkiem państw sąsiednich. A tendencya ta sprzeciwia się wprost prawu moralności, które naucza: „Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło“. Patryotyzm mógł być cnotą w starożytności, gdy wymagał od człowieka poświęcenia dla najwznioślejszego ideału, jedynie wówczas dlań przystępnego t. j. dla ojczyzny. Ale jakież znaczenie może mieć to uczucie w naszej chrześciańskiej epoce? Dla czegoż człowiek dzisiejszy jeżeli jest Rosyaninem pójdzie zabijać Niemców lub Francuzów; jeżeli jest Francuzem pójdzie mordować Niemców, skoro wie dobrze, chociażby były i najciemniejszym, że narody, przeciw którym podżegają jego nienawiść patryotyczną, nie są barbarzyńcami, ale chrześcianami posp łu z nim, że często jedne z nim wyznają religią, na równi z nim pragną pokoju, cichej wymiany pracy, że często go wiążą z nimi wspólność zajęcia, interesa handlowe, lub też węzły intelektualne. Zdarza się nawet często, że człowiek znajduje w sąsiednim narodzie więcej pożytecznych żywiołów, więcej w niem do siebie nawet znajduje podobieństwa, niżeli u swoich ziomków, jak to n. p. zastósować można do robotników, zależnych od cudzoziemców, którzy im dostarczają zarobku, do kupców, a przedewszystkiem do uczonych i do artystów“.

Dusza kobieca.

Oddawna głoszą, że kobieta jest zagadką; na różne sposoby rozwiązywano tę zagadkę, ale ani jednego nie znaleziono rozwiązania prawdziwego, ani jednego, któreby odpowiadało jej istocie. Dowodem choćby literatura wszystkich narodów, zajmująca się nieustannie piękną połową rodzaju ludzkiego; dowodem żonaci i nieżonaci, młodzi i starzy: każdy niemal bez wyjątku mniej lub więcej często znajduje się w tem położeniu, iż kobiety zrozumieć nie może.

Niemiecki uczony Beut, profesor w jednym z zakładów naukowych żeńskich, długie lata studyów poświęcił badaniom duszy kobiecej i od czasu do czasu puszcza w świat zdobycze swych prac i spostrzeżeń, odnoszących się do tego przedmiotu. Prace jego są bardzo chętnie czytane, niemal rozchwytywane, taka w nich przebija się znajomość rzeczy i umiejętność zainteresowania czytelnika. Najświeższe jego dzieło nosi tytuł „Dusza kobieca“. Z pracy tej przytaczamy ustęp jeden:

Bierzemy tu — mówi autor — miłość w ściślejszem znaczeniu, miłość kobiety do mężczyzny. Przedewszystkiem, łącząc się dozgonnym węzłem z mężczyzną, musi kobieta wytworzyć sobie pojęcie o jego prawdziwych, lub też urojonych zaletach. Niegdyś przypisywano miłość jakiejś mistycznej iskierce, która w jednej chwili wzniecać ma płomień. Ale ja sam, chociaż w niektórych moich poezyach opiewałem cudowną siłę miłości, jako psycholog usilnie się zastrzegam, abym miał pięknemi i poetyckiemi frazesami rozwiązywać zagadki ducha. Jako psycholog, nigdy nie wierzę w raptowne oczarowanie, które się w mgnieniu oka zamienia w miłość. Żeby się namiętność rozwinęła, potrzeba spokoju, czasu i świadomego przytłumiania. Ta miłość czarodziejska, co to powstaje w jednej chwili, nie jest prawdziwą miłością: ona wybuchnie i zgaśnie, jak uczucie przelotne, które nie jest właściwie miłością, ale zwyczajnym afektem, który tylko trwa nieco dłużej.

Kobieta, oceniając mężczyznę, zważa zarówno na jego zewnętrzne, jak wewnętrzne zalety. Zewnętrzne zalety mężczyzny wywierają na kobiety wpływ niezwykle wielki. Tylko ten, kto nie zna kobiet, może się łudzić, że męzka piękność, dla której kobiety są tak słabe, nie jest głównym motywem miłości. Co więcej, można powiedzieć, że piękna kobieta w towarzystwie, na scenie, lub jakiembądź zebraniu nie wywrze nigdy takiego wrażenia, jakie w takich miejscach zrobi piękny mężczyzna. Dlatego kobiety, gdy wobec nich mówi się o piękności mężczyzny, okazują o wiele więcej powściągliwości, niż mężczyzni w rozmowie o pięknych kobietach. Prawidłowa, niezbyt smukła, lecz o ile możności silna budowa ciała, regularne rysy twarzy, obfite czarne włosy, czoło, które może i nie zdradzać wielkiego ducha, wystarczają, aby około mężczyzny wirowały roje kobiet i dziewcząt,

---

dnie, że całe towarzystwo, zachwycone, przyklaskiwało mu z prawdziwym zapałem.

Profesor, który na to wszystko patrzał ze swego wysokiego stanowiska, to jest, z wysokości kamienia, był w końcu sam tak rozbawiony i rozweselony, że zdawało mu się, że należy także do tego towarzystwa. Śmiał się nawet z dowcipów kasyera, a gospodarz, który prawdopodobnie był kupcem kolonialnym, zdobył sobie teraz całą jego sympatyę. Był to też mistrz, co się zowie, w wymyślaniu i urządzaniu zabaw. Umiał naśladować szczekanie psów, głosy rozmaitych ptaków, umiał połykać pieniądze, ogień, stać na nosie, a gdy nareszcie wyjął z rękawa jednej z młodych dziewczyn kawałek szafranowego chleba i schował go w swojem prawem uchu, wtedy pomimo pustego żołądka, musiał się profesor serdecznie uśmiać.

Teraz rozpoczęły się tańce. Profesor czytał raz w gramatyce Rabego następujący ustęp z Cycerona: Nemo saltat sobrius, nisi forte insanit“, i myślał zawsze, że taniec jest wybuchem szaleństwa. Widział wprawdzie tańczące młode psy i konie, ale nie przypuszczał nigdy, aby Cyceron rozszerzał swoje maksymy aż na zwierzęta, a podług zdania profesora zachodziła jednak bardzo wielka różnica pomiędzy ludźmi a zwierzętami. Ale gdy widział teraz, jak ci młodzi, trzeźwi ludzie obracali się w takcie podług dźwięków harmoniki, to zdawało mu się, że i jego dusza popadła w jakieś wirowanie, i w końcu nie mógł się powstrzymać od wybijania taktu nogą.

Potem pomyślał sobie, że dosyć długo tu już stoi, i postanowił odejść! Ale sprawiało mu to przykrość, doznawał bowiem takiego uczucia, jak gdyby i on był brał udział w tej wesołej i swobodnej zabawie. Był też teraz o wiele łagodniej usposobiony, a w duszy jego zapanował spokój, i jakieś błogie znużenie, jakiego nigdy jeszcze dotąd nie doznawał.

Tymczasem zaczynało się już ściemniać — w lakierowanych powozach jechały wytworne panie, strojnie ubrane, zawinięte w swych białych płaszczach, jak trupy. Twarze ich były także biało malowane, pod oczami ciemne linje — tak bowiem nakazywała moda — trzeba było koniecznie wyglądać tak, jak gdyby się z grobu powstało. Nowy kierunek myśli profesora objawił się teraz bardzo wyraźnie: odwrócił oczy od tych wykwintnych arystokratek, i uznał, że wesołe dziewczęta z lasu nie mają im nic do pozazdroszczenia.

Na wodzie ukazywały się liczne parowce z chorągiewkami, muzyka grała, tłumy ludzi wracały z wycieczek — wszystko śpiewało, i krzyczało tak głośno, że nawet w Zwierzyńcu można było słyszeć całą tę wrzawę.

Nigdy jesze w życiu swojem nie czuł się profesor tak samotnym, jak dziś, w tym tłumie ludzi; zdawało mu się, że wszyscy patrzą na niego z litością i wiedzą, że jest upartym, zaciętym starym kawalerem. Byłby się chętnie zbliżył do pierwszego lepszego przechodnia, po to tylko, aby coś przemówić i usłyszeć swój głos, ale nagle przyszło mu na myśl bardzo nieprzyjemne wspomnienie; kelner Gustaw, który nie umiał zapanować nad swoją radością, gdy go ujrzał w Hasselbaken! W usposobieniu profesora zaszła teraz taka zmiana, że byłby nietylko Gustawa, ale i każdego innego, ktoby się był do niego zbliżył, uściskał, jak przyjaciela. Ale nikt się niestety nie zbliżył.

O, tak — gdy już zajął miejsce na parowcu, przybiegł do niego jakiś wyżeł, który zapewne zgubił w tłumie swego pana i położył głowę na jego kolanach. Profesor nie cierpiał psów, ale nie odpędził go jednak — czuł przyjemne ciepło na kolanach, a opuszczone zwierzę patrzało mu tak błagalnie w oczy, jak gdyby chciało powiedzieć: „poszukaj mi mego pana!“

Gdy przy Nowym Moście wysiedli na ląd, pies uciekł.

— Nie jestem mu już potrzebnym! pomyślał profesor smutnie, i poszedł do domu.

Wszystkie te drobne wypadki w dniu św. Jana, nadwyrężyły znacznie spokój profesora. Poznał on teraz, że wszelkie obliczenia i postanowienia nie wystarczają człowiekowi, to też czuł się niepewnym i niezadowolonym. Nawet w ulubionej swojej restauracyi nie czuł się już

jako motyle około światła. Dalej zważają kobiety także na rodzaj zajęcia i wysokie stanowisko mężczyzny, tytuł szlachecki i wysokie stanowisko urzędnicze; w szczególności wysokie stanowisko w wojsku może wywrzeć na kobietę takie wrażenie, że zapomni ona o wszystkich swoich obowiązkach. Sława poetycka, artystyczna, wogóle literacka, ma także wielki wpływ przyciągający. Natomiast tytuł uczonego, choćby otoczony aureolą sławy niezmiernej i uznania, mało przyciąga kobiety. Żona takiego człowieka czuje się duchowo znacznie niższą od męża.

Prócz tego imponuje kobietom silna wola i wielka energia mężczyzny, zwłaszcza, gdy jest połączona ze świadomym chłodem wobec młodszych kobiet. A gdy jeszcze z energią idzie w parze talent, wysokie wykształcenie i łatwość w obejściu, nadto, gdy mężczyzna posiada piękny i miękki głos, akcentujący dźwięcznie słowa, które się podobają kobietom; gdy wreszcie mężczyzna umiarkowanie wzdycha za przeszłością, a pesymistycznie patrzy na teraźniejszość, wtedy posiada u kobiet łaski niesłychane.

Miłość przemienia się w namiętność dopiero przez długie przebywanie z kobietą, którą mężczyzna kocha i równocześnie wskutek przeświadczenia, że miłość znajduje coraz większą wzajemność, przyczem przywiązanie powiększa się z każdym dniem pod działaniem nowych wrażeń.

Gdy namiętność nie zaspokoi się szybkiem małżeństwem, zanim się bolesny proces odbędzie w centrach mózgu i zacznie burzyć, trzeba przedewszystkiem stworzyć lub wynaleźć jakąś nową sferę interesów, która wyparłaby ową pierwszą z porządku dziennego.

Z miłości leczy się człowiek bardzo powoli i tylko stopniowo, ale na sto wypadków trzeba w 99 przedmiot miłości czemprędzej usunąć z widoku. Tylko, że nawet to samo przez się jeszcze nie pomaga i nie leczy całkowicie miłości. Jak powiedziałem, trzeba stworzyć jakieś nowe przeciwieństwo, lub też zburzyć interesującą sferę miłości i to mądrze, umiejętnie i powoli. Prócz tego istnieje jeszcze jeden sposób, chociaż więcej chwilowego, niż gwałtownego leczenia miłości. Temu, kogo opanowała namiętność, trzeba pokazać przedmiot ubóstwiany w ohydnej barwie. Jest to jednak eksperyment bardzo niebezpieczny. Wstrząśnienie podobne może w jednej chwili zagrozić równowadze duchowej, a nawet życiu.

I pod tym względem kobiety więcej cierpią od mężczyzn, ale też i więcej od nich potrafią znosić. Rozpacz miłosna rzadko którą kobietę wpędzi do grobu, podczas gdy u mężczyzn zdarza się to dosyć często.

Książka St. Koźmiana o 1863 r.

Pół roku minęło jak przyjaciele polityczni p. Stanisława Koźmiana zaczęli rozpowszechniać wiadomość, że przystąpił on do napisania poważnych rozmiarów dzieła o powstaniu r. 1863. Nie można zaprzeczyć, iż wiadomość ta należała do interesujących, oddawna bowiem istnieje wiara w wielkie zdolności literackie i publicystyczne p. Koźmiana, a on sam uchodził zawsze (nie wiem: słusznie, czy niesłusznie) za głowę stronnictwa, za głównego przedstawiciela rozumu i błędów, sprytu i niesprytu, energii i bezradności, słowem wszelkich wad i zalet partyi stańczykowskiej, o ile (ne na widowni publicznej się ukazywały. Nie mówimy partyi konserwatywnej lecz stańczykowskiej, stańczykowstwo bowiem jest odcieniem konserwatyzmu, który to odcień najgłośniej zasłynął, najwięcej czynił hałasu, owładnął przez czas pewien stronnictwem konserwatywnem i stał się najwięcej nienawistnym partyi liberalnej i w ogóle wszelkiego rodzaju opozycyonistom.

Pan Koźmian był przyjacielem Artura Potockiego, Stanisława Tarnowskiego, Szujskiego, Ludwika Wodzickiego i— i jak twierdzono, wszyscy oni, a zlaszcza dwaj pierwsi, ulegali mu ślepo, głos jego uważali za rozstrzygający. Pan Koźmian liczył się zawsze do współpracowników „Czasu“, a po śmierci Manna, był przez lat jakie dziesięć głównym jego redaktorem, „Czas“ zaś, była to kuźnia stańczykowska na której kowadłach starano się w proch rozbić wszelkich gorących, marzących, entuzyastów, niezadowolonych, liberałów, niedowiarków, słowem tych wszystkich, dla których zasady, zapatrywania i polityka nie były dogmatem, ewangelią.

Jeżeli przeto zważymy, że partya stańczykowska powstała wskutek roku 1863, i że p. Koźmian zajmował w niej i zajmuje do dziś dnia wybitne, prawie dominujące stanowisko, że były chwile, w których jak twierdzono, dzierżył dyktaturę stronnictwa, to pojmiemy łatwo dla czego książki jego o powstaniu 1863 r. oczekiwano z ciekawością nietylko w kole jego przyjaciół politycznych, ale w ogóle w kole ludzi zajmujących się sprawami publicznemi.

Głuche wieści o pisaniu dzieła zaczęły się sprawdzać — ujrzeliśmy bowiem niezadługo jego forpoczty w łamach paru pism konserwatywnych. Były to wyciągi, pojedyńcze rozdziały, nie dające wprawdzie wyobrażenia o całości, ale w każdym razie zapowiadające rzecz na wielkie rozmiary. Zaciekawienie wzrastało. Nareszcie ukazała się w osobnej książce *część pierwsza tomu Igo*, a zaledwie się ukazała powitał ją „*Czas*“ trzema wstępnemi artykułami.*) Naszpikowane zachwytem, cytatami z poetów i filozofów, z dzieł myślicieli i mężów stanu, przypominały wprawdzie te artykuły wypracowania szkolne, ale uczyniły książce w pewnych sferach taki rozgłos, jakiego nie doczekały się na razie zapewne nigdy najznakomitsze płody ducha ludzkiego i literatury.

Po odezwaniu się tych trąb, fanfar i puzonów, pod świeżem wrażeniem echa tych „cymbałów brzmiących“, dowiedziawszy się nadto z ogłoszeń, że książka p. Koźmiana wytłoczoną została umyślnie na ten cel sprowadzonemi czcionkami, z tem większą skwapliwością wzięliśmy do ręki „Rzecz o roku 1863“, pewni, że książka ta, to wielki czyn stronnictwa, to arcydzieło autora. Wiedząc, z kim mamy do czynienia, z góry wiedzieliśmy, że niejeden ustęp nie trafi nam do przekonania, że na niejeden pogląd nie zgodzimy się, że dzieło o wypadkach tak jeszcze drażniących, tak sprzecznie tłomaczonych, tak roznamiętniających, pisane przez publicystę skrajnego obozu, będzie na sobie musiało nosić cechę stronniczości, ale sądziliśmy, że napotkamy w niem wiele szczegółów nieznanych, nieco odsłoniętych tajemnic, poglądów szerszych, świetną charakterystykę ludzi i stronnictw, że na wszelki sposób będziemy mieli do czynienia z dziełem, które zaważy na szali sądów o nieszczęsnych wypadkach, co lubo już przeszły do historyi, są nam niestety! ciągłością swych następstw tak blizkie, jakby się nie przed 30stu laty, ale wczoraj rozegrały.

Czy nasze przewidywania się sprawdziły, czy też przypuszczenia nasze były pomyłką, rozstrzygną czytelnicy dzieła, a względnie naszego sprawozdania.

I.

Zanim wystąpimy z oceną. z krytycznym przeglądem książki p. Koźmiana, przejdziemy po krótce jego treść, aby czytelnik zapoznał się ze sposobem przedstawienia rzeczy przez autora, co zresztą jest konieczne, dla zrozumienia uwag, jakie uczynić zamierzamy.

*) Ogłoszenia płatne w dziennikach o wyjściu książki p. Koźmiana również przesiąknięte są reklamą rzadko u nas spotykaną n. p.: „W tych dniach wyszła od dawna zapowiedziana“ i t. d., potem znowu: „Wydanie nader starannie wytłoczone umyślnie na ten cel sprowadzonemi czcionkami.“

---

tak bezpiecznym, jak dawniej, zdawało mu się bowiem, że każdej chwili mogą go ztamtąd wyprosić. Powodem tego podejrzenia było może chłodne zachowanie się kelnera Gustawa. Był on wprawdzie tak uprzejmym, jak dawniej, ale wzajemne zaufanie i przyjaźń zniknęły bezpowrotnie. Profesor niedowierzał mu już teraz, i ile razy dostał na obiad kawałek twardego mięsa, tyle razy mówił sobie w duszy:

— Aha, Gustaw mści się na mnie!

Tego roku trwało lato za długo dla profesora. Pan Potocki wyjechał, a księgarz przebywał teraz najwięcej w restauracyi Moselbakke. Pewnego jesiennego wieczora siedział księgarz z panem Potockim u Reinera, obydwaj pili lody i rozmawiali o polityce — gdy nagle wszedł profesor z jakąś paczką w ręku i schował ją starannie w jednym z próżnych koszyków od piwa, stojących w kącie. Zdawało się, że dziś jest zły i niezwykle zdenerwowany.

— No, stary Blomie, zaczął księgarz może już po raz setny, — nie ożenisz ty się wnet?

— Niech się do licha żeni, kto chce, mruknął profesor, — czy nie mam i bez tego dosyć kłopotu? Czemuż ty się nie żenisz?

— O, ja mam moją starą Stawę, odrzekł księgarz, który na mnóstwo zapytań miał mnóstwo stereotypowych odpowiedzi.

— Ja miałem żonę i byłem bardzo szczęśliwy, wtrącił pan Potocki. — Ale moja żona już nie żyje, ho, ho!

— Doprawdy? rzekł profesor, naśladując złą wymowę Potockiego. — I pan jesteś wdowcem? Jakże to być może?

Pan Potocki nie zrozumiał tego, i kiwał głową, uśmiechając się dobrodusznie. Ale to właśnie najwięcej gniewało profesora, dla tego umilkł zupełnie, i nie zważał wcale na obecność przyjaciół. Po chwili wstał, aby sobie przynieść cygaro z kieszeni płaszcza, wiszącego w przedpokoju, i zaledwie odwrócił się od stołu, kiedy księgarz zaczął się bardzo dwuznacznie uśmiechać, jak gdyby mu nagle jakaś świetna myśl przyszła do głowy. Zrywa się szybko z krzesła, biegnie do kąta i bierze tajemniczą paczkę, a widząc, że nie jest opieczętowana, otwiera ją, wyjmuje z papieru wspaniałą damską, amerykańską nocną koszulę, z przodu otwieraną i ozdobioną koronkami, i rozkłada ją starannie na krześle profesora.

— Ho, ho! woła pan Potocki, uśmiechając się, jak gdyby ujrzał coś nieprzyzwoitego.

Reiner, który bardzo lubi takie żarty, ukrywa się z głośnym śmiechem za bufetem, a w kilka sekund później ukazuje się w okienku od kuchni głowa jakiejś służącej.

Gdy profesor wrócił i spostrzegł całą tę komedyą, zbladł ze złości, i domyślił się od razu, że to sprawka księgarza, ale gdy ujrzał Gustawa, stojącego w kącie i zanoszącego się od śmiechu, powiedział sobie — to on zrobił przez zemstę!

I nie mówiąc słowa, rozdarł koszulę, rzucił na stół pieniądze za kolacyą, i wyszedł.

Od tego dnia przestał zupełnie bywać u Reinera. Księgarz dowiedział się, że teraz chodzi do jakiejś restauracyi na Ladugardslandet. I tak było rzeczywiście. Ale całe to zajście dało się profesorowi bardzo we znaki. Jadło było tam wprawdzie nie złe, ale nie było doprawione tak, jak on lubił. Służba nie uważała dosyć na porządek. Często myślał o tem, aby wrócić do Reinera, ale duma jego nie pozwalała na to. I tak spełniło się to, czego się od dawna obawiał: wyrzucono go z ulubionej restauracyi, a długoletnia znajomość została zniszczoną w kilku zaledwie minutach.

Trochę później spotkał go nowy cios; Panna Augusta odziedziczyła małą posiadłość w Nyköping, i zamierzała na pierwszego października opuścić Stokholm. Profesor musiał więc koniecznie opuścić swoje dotychczasowe mieszkanie. I teraz zmieniał je co cztery tygodnie, nigdy mu się już bowiem nie podobało. Mieszkania te nie były zpewnością gorsze od pierwszych, ale — siła przyzwyczajenia! Tak już przywykł do chodzenia zawsze temi samemi ulicami, że często stanął przed drzwiami dawniejszego mieszkania, zanim spostrzegł swoją omyłkę. Wszystko mu się — jednem słowem — pomieszało, i koniec całej tej sprawy był ten, że zamieszkał na pensyi u jakiejś familii. Było mu to dotychczas zawsze niezmiernie wstrę-

Rzecz swoją rozpoczyna p. Kozmian bardzo pokojowo; każe wierzyć, że wziął do ręki pióro bezstronnego historyka, a nie pióro człowieka stronnictwa.

„Wszyscy zawinili w wypadkach, nad któremi zastanowię się“ — oto pierwsze jego słowa, wiele mówiące, bo mające nadać opowiadaniu cechę objektywności. Tak przemawia ten, co pragnie wypruć z siebie wszelkie uprzedzenia, utrzymać się na stanowisku trzeźwego badacza, zapomnieć o swoich sympatyach do ludzi, zerwać nić wiążącą go z ciasną sferą poglądów partyjnych, zadać cios miłości własnej, upokorzyć się przed prawdą, choćby ciężko było ją wyznać, choćby trudno było własne rozgrzeszyć sumienie.

P. Koźmian pragnie, aby te wypadki „same przemówiły“, – a więc on mówić za nie nie będzie. Przedstawi rzecz, jak się miała, oparty na faktach i dokumentach, a z prawdy przez niego podanej zostawi wolne pole do wniosków. Ślicznie, rozumnie — raz przecie zdobyć się powinniśmy na takie traktowanie dziejów ostatniego powstania.

Ale zaraz dalej „śliczność“ ta niknie, bo autor oświadcza, że zadaniem jego będzie „*rozłożyć odpowiedzialności*, rozróżnić *winnych od współwinnych*, *sprawców złego* od tych, którzy mu przeszeszkodzić, ani zaradzić nie potrafili; tych którzy klęskę zgotowali, od tych, którzy chcąc ją zażegnać rozszerzyli jej rozmiary; wykazać wreszcie przyczyny *obłędu* jednych, *pomyłki* drugich.“ Pragnie zatem „wytłomaczyć, dlaczego w błędzie popełnionym przez *nierozważnych* wzięli udział *roztropni* i dlaczego zaszli tam, gdzie wiódł *bezrozum*, *lekkomyślność*, a w końcu *szał*.“ A więc nie „same wypadki“ będą mówiły, nie będzie to zbiór dokumentów i zeznań przedłożony sądowi, nie będzie to nawet obrona ani oskarżenie, lecz wyrok wydany przez autora. Przyjmuje on na siebie rolę trybunału, bo ma „rozkładać odpowiedzialności“, powie, kto był *spiritus movens*, czynu, kto go wykonał, kto współdziałał ze złym zamiarem, a kto lekkomyślnie. Trybunał ten wprawdzie kary nie wyznaczy, bo nie posiada egzekucyi, ale tak jak trybunał przysięgłych, orzecze winę, pozostawiając komu innemu wymiar kary. Po tym werdykcie sędzia zamieni się w obrońcę mniej winnych, będzie dla nich żądał wymierzenia lekkiej kary, lub uniewinnienia przytaczając łagodzące okoliczności, będzie „tłomaczyć (mówiąc słowami autora) dlaczego w błędzie wzięli udział“ jego klienci. Wszyscy zawinili, ale nie wszyscy mają za winę odpowiadać.

Z przytoczonego ustępu przedmowy wiemy już także z góry, kogo spotka najcięższy wyrok, a kto zostanie uniewinniony, a co najwyżej skazany na pokutę kościelną. P. Koźmian zaznaczył od razu, że byli *sprawcy złego*, że r. 1863 był *obłędem nierozważnych*, następstwem *bezrozumu, lekkomyślności i szału*.“ Zapewnił dalej, ży byli *roztropni*, którzy chcieli klęskę zażegnać, ale dopuszczali się *pomyłek*. Czyż nie jest jasnem jak na dłoni, że tymi sprawcami złego, bezrozumnymi szaleńcami będą ci, co wywołali powstanie i tworzyli rząd narodowy, a rozstropnymi i mylącymi się członkowie, *grona krakowskiego* jak nazywa autor swoich przyjaciół politycznych, którzy po upadku powstania znieśli jaje, z którego wykluła się pierwsza para kogutów stańczykowskich.

I nie historyę powstania, ale dzieje tego *grona* przedewszystkiem ma autor na celu. Sam mówi: „Opowiem w *Części pierwszej* jak pamiętam i jak mi wiadomym jest przebieg wypadków... *będzie to bowiem wytłomaczeniem postępowania szczupłego grona, które po r. 1863 skupiło się około „Przeglądu Polskiego“, będzie zarazem przedstawieniem powodów zachowania się w obec powstania znacznej części zachowawczych w polskiem społeczeństwie żywiołów*, to doprowadzi mnie do określenia stanowiska zajętego przez Galicyę w 1863 r.

„W części drugiej — pisze dalej autor, — zbadam przyczyny dalsze i bliższe błędu jednych, pomyłki drugich (ci *drudzy* to znowu owe *szczupłe grono* „Przeglądu Polskiego“) wspólnej wszystkim winy. Zaznaczę znamiona tych czasów, ocenię ludzi i wypadki... zapiszę w końcu zmianę, jaką r. 1863 sprowadził w położeniu narodu polskiego; *zwrot w wyobrażeniach, którego wyrazem stała się szkoła wytworzona przez to szczupłe grono, którego udział w wypadkach 1863 r. opiszę w Części pierwszej, a które następnie zajęło w sprawach publicznych, zwłaszcza w publicystyce odrębne stanowisko. Wskażę jak i w jakiej mierze ta szkoła wpłynęła na ów zwrot, jak zrozumiała zmienione położenie narodu.*“

A więc sam autor przyznaje najwyraźniej, że celem jego pracy historya stronnictwa znanego powszechnie pod nazwą stańczykowskiego, że przebieg wypadków r. 1863 opowie dla tego, aby „wytłomaczyć“ postępowanie tych, co niedługo potem do życia stronnictwo powołali, że wreszcie rozbieranie w *Części drugiej* błędów i pomyłek, zaznaczenie znamion czasów, ocena ludzi i wypadków, będą znowu pomostem, po którym przejdzie do dalszych dziejów owego *szczupłego grona*, do historyi już nie rodzącego się, ale zrodzonego stronnictwa.

Na podstawie zatem własnych słów autora widzimy jak niewłaściwie wybranym, bo nieodpowiadającym treści jest tytuł książki. To nie „*Rzecz o r. 1863*“, to: „*Dzieje powstania i pierwszych lat rozwoju stronnictwa krakowskiego*“. Część Isza mogłaby jeszcze nosić podtytuł: „*Przed przyjściem na świat, czyli stańczyki w łonie 1863 r.*, część IIga zaś: „*Narodziny i wiek młodzieńczy stronnictwa.*“

Czy i o ile książka p. Koźmiana odpowiada podstawionym przez nas tytułom, osądzą czytelnicy ze streszczenia pojedyńczych rozdziałów.

Mamy zatem naprzód rozdział IIgi, bo krótką przedmowę nazwał autor rozdziałem I.

Wiadomość o wybuchu powstania otrzymał autor na wsi w końcu stycznia. Czuł, że będzie ono nieszczęściem, ale miał nadzieję w Napoleonie. Wiara jego w podniesienie sprawy polskiej prz cesarza Francuzów oparta była na mylnem rozumowaniu, które też „stało się nicią przewodnią dla owego szczupłego grona, które później założyło Przegląd Polski.“

Ojciec autora przebywał wówczas w Paryżu i miał stosunki z ministrem Walewskim. Oczekiwał więc K. już wiadomości od niego i na zdania ludzi z otoczenia *Hotelu Lambert*. Pierwsze listy ojca potępiały powstanie. Autor pospieszył do Krakowa, gdzie zastał odnogę spisku warszawskiego, oraz „poważny zastęp ludzi rozsądnych, statecznych, patryotów, słowem tak zwanych konserwatystów“. To *słowem* jest nieocenione. Pamiętaj czytelniku, że jeżeli jesteś rozsądnym, statecznym, patryotą „toś *słowem* konserwatystą.“

Do „przerażonych i bezradnych“ zbliżył się autor wraz z Ludwikiem Wodzickim. Był „za młody“, „za mało doświadczony“, aby wiedzieć, że należy powstanie potępić lub stanąć na boku. Łudził się nadzieją, że „można ze złego coś dobrego wydobyć“, „nie domyślił się ani przeczuwał, że zbliżenie się do ruchu rozszerzy klęskę“. Na domiar niekorzyści Mann ustąpił chwilowo z „Czasu“, który sprzyjał systematycznie spiskowi i ruchowi, nie dał Wielopolskiemu poparcia, wystąpił przeciw niemu, „idealizował“ powstanie.

Z Francyi dochodziły złe wiadomości, powstania nie brano na seryo. Mowa pokojowa Napoleona (wypowiedziana była 12 stycznia, a więc przed wybuchem powstania) i wyprawa meksykańska były (dla autora) wskazówkami, iż w grę władzcy Francyi nie wchodziło polskie powstanie. A więc był przeciwny popieraniu jego i nie szczędził usiłowań, aby ludzi rozsądnych utrzymać na stanowisku wobec niego odpornem, dopóki się „nie nadarzy sposobność i m o ż n o ś ć potępienia go jawnie“. Ale nacisk ze strony spisku w niwecz obrócił usiłowania autora. „Stateczni, rozsądni, patryoci, jednem słowem konserwatyści“, chcieli już zbierać składki na broń i tworzenie oddziałów. „Od tego kroku zależały inne dalsze i udział wszystkich

---

tnem, ale nie wiedział już, jak sobie inaczej poradzić.

Odtąd znajomi zgubili wszelkie jego ślady, i już go więcej nie wspominali.

I znowu pewnego wieczora siedzi pan Potocki sam u Reinera, pali cygara, pije toddy, i kiwa głową w bezmyślnem zadumaniu.

Wtem przychodzi księgarz — a raczej wpada, jak huragan — rzuca kapelusz na stół, i krzyczy:

— To być nie może! To niepodobno!

Pan Potocki budzi się ze swej koniakowej i tabacznej nirwany i przewraca oczy.

— Czy wierzysz pan? krzyczy księgarz dalej, — on się zaręczył!

— Kto on? Jaki on? woła Potocki przestraszony.

— Profesor Blom!

I w nagrodę za przyniesienie tej nowiny żąda księgarz kieliszka toddy. Gospodarz Reiner stoi za bufetem, nadstawia ucha, i pyta:

— Czy profesor żeni się dla pieniędzy?

— Nie, myślę przynajmniej, że nie, odpowiada księgarz. Jest on dziś bohaterem wieczora, opowiada bowiem wszystko, co wie, i jest pewnym, że ma uważnych słuchaczy.

— A narzeczona, jestże piękną? pyta pan Potocki. — Bo moja żona była bardzo piękna, hoho!

— Piękna właściwie nie jest, ale ma twarz miłą i sympatyczną, mówi księgarz.

— Więc ją pan widziałeś? pyta znowu Reiner. — Pewnie już nie młoda!

— Owszem, bardzo młoda.

— A czem jest jej ojciec? bada Reiner dalej.

— Podobno powroźnikiem

— No, proszę, szepce Reiner, — co za filut z tego profesora!

— Ja przecież zawsze mówiłem, odpowiada księgarz, że ten człowiek jest stworzony do ożenku!

— Co prawda, to my wszyscy jesteśmy na to stworzeni, mówi gospodarz, — i nikt nie ujdzie swemu przeznaczeniu. I wygłosiwszy taką mądrą odpowiedź, siada znowu za swoim bufetem.

Gdy się już uspokoili co do tego, że profesor nie żeni się dla pieniędzy, zaczynają zaraz badać, z czego młoda para zamierza właściwie żyć. Księgarz robi wykaz dochodów profesora i tego, co sobie jeszcze pobocznie zarabia. Po załatwieniu tej kwestyi pragnie się Reiner dowiedzieć wszystkich bliższych szczegółów.

— Gdzie ją profesor poznał? Czy narzeczona jest brunetką, czy blondynką? Czy bardzo w nim zakochana?

Na to ostatnie zapytanie odpowiada księgarz twierdząco, bo widział, jak mocno uwiesiła się na jego ramieniu.

— Ale on taki sztywny, jak prawdziwy kawał drzewa! Jak się ten człowiek mógł zakochać! Prawie nie można w to uwierzyć!

— I jakim on mężem będzie!

Reiner twierdził, że co do jadła, to on jest bardzo wymagającym, a ten, kto się chce żenić, nie powinien za wiele żądać. Oprócz tego pije wieczorem chętnie swoje toddy. Czy myśli, że ożeniwszy się będzie je mógł pić codziennie? Nie cierpi też dzieci!

— Pfe, szepnął — to nie będzie tak, jak być powinno. I powiem wam też coś jeszcze, moi panowie – (tutaj wstał, obejrzał się uważnie, i szeptał dalej) — niech mnie djabli wezmą, ale myślę, że ten stary hypokryta miał — jakiś stosunek . . . bo czy przypominacie sobie tę historyą z koszulą? hihihi, pani Blom powinna dobrze uważać i pilnować męża! Bywały też już i gorsze rzeczy na świecie. Ale ja nic więcej nie mówię! —

To w każdym razie było prawdą, że profesor się zaręczył, i że we dwa miesiące później odbył się jego ślub.

Co się potem działo — nie należy do nas, trudno bowiem bardzo dowiedzieć się bliższych szczegółów życia małżeńskiego!

W restauracyach nie widywano profesora nigdy. Księgarz spotkał go raz na ulicy, samego, i usłyszał zaraz długą naukę, zakończoną

rozsądnych i zamożnych w powstaniu." Więc autor przestraszył się! Staraniom Koźmiana i Wodzickiego to tylko udało się osiągnąć, że składki miały być zbierane jedynie dla rannych. Był to półśrodek — odłożenie postanowienia. Co gorsza utwierdziło się mniemanie, że trzeba współdziałać, aby „ubiedz czerwonych", co jednak posłużyło tylko „do oddania na usługi ich bezrozumnego przedsięwzięcia powagi, sił i zasobów zachowawczych żywiołów." We Lwowie także przyjęto zasadę półśrodków.

K. Bartoszewicz.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Szkoła i wychowanie.

Klasycyzm i realizm w Prusiech w walce o szkołę.

Napisał
Romuald Łazęga.

W chwili obecnej w w dziedzinie literatury pedagogicznej w Prusiech wre walka ze wszech miar ciekawa. Gimnazyum klasyczne, uchodzące do niedawna za wzór doskonale zorganizowanej szkoły wyższej, stało się w czasash ostatnich przedmiotem namiętnych zaczepek ze strony nauczycieli i wykształconej publiczności, i zaledwie z wytężeniem sił wszystkich zdolne jest jeszcze utrzymać się w uprzywilejowanem stanowisku, jakie sobie zdobyło w ciągu ostatnich lat stu dwudziestu.

Początki tej walki sięgają końca czwartego dziesiątka bieżącego stulecia, a hasło do niej wyszło z kół medycznych. Albowiem r. 1837 radca medycynelny w Opolu dr. Lorinser ogłosił niezbyt wielką rozprawę p. t. „Zum Schutze der Gesundheit in den Schulen", w której po raz pierwszy przeciwko gimnazyum klasycznemu podniósł zarzut, iż przez nadmierne wymagania, jakie we względzie naukowym stawia wobec swych uczniów, podkopuje zarówno ich cielesny jak i duchowy organizm. Rozprawa ta, oparta na faktach i medycznych wywodach, wywołała w ówczesnej literaturze polemikę tak namiętną, iż sam król Fryderyk Wilhelm III zainteresował się tą sprawą i polecił ministrowi oświaty von Altensteinowi zarządzenie jak najściślejszych dochodzeń w tej mierze. Minister zażądał w tej sprawie raportów od poszczególnych prowincyalnych kolegiów szkólnych, a te znowu raportów od dyrektorów i kolegiów nauczycielskich poszczególnych zakładów. Ostatnie nie miały ochoty wystąpić z obwinieniem przeciwko samym sobie i tym sposobem minister v. Altenstein w roku 1836 w okólniku, zawierającym poniekąd ekstrakt z wszystkich sprawozdań, mógł wystąpić z zapewnieniem, iż zarzuty podnoszone ze stron wielu przeciwko gimnazyom klasycznym są bezpodstawne i że organizacya ich w zasadzie nic pozostawia nic do życzenia.

Tym sposobem spór ten na razie został ubity. Mimo to obudzone raz niezadowolnienie z istniejącego stanu rzeczy na polu szkólnictwa wyższego nie ustawało i ze strony inteligentnej publiczności raz po raz odzywały się głosy gimnazyum klasycznemu bardzo nieprzychylne. Ale czasy dla ziszczenia jakichkolwiek reform w dziedzinie szkół wyższych były zbyt niepomyślne. Nowy władzca monarchii pruskiej, król Fryderyk Wilhelm IV do zrywania z tradycyą mniej niż którykolwiek inny czuł w sobie pohopu. Widmo radykalizmu, prześladujące go do samego grobu, wysuwało mu się i na tle wychowania publicznego i ztąd był on dalekim od chęci pofolgowania antiklasycznym aspiracyom, budzącym sią zwolna wśród jego narodu. Przeciwnie, był on o nieodzowności studyów klasycznych, jako jedynie racyonalnej podstawy wyższego wykształcenia, tak głęboko przekonany, iż myślał na seryo o dalszej redukcyi przedmiotów realnych w obrębie planu naukowego gimnazyów i o zaprowadzeniu jednostronnego systemu filologicznego, jaki od r. 1830 w dziedzinie szkólnictwa wyższego istniał w Bawaryi. Zanim jednakże powołany do przeprowadzenia tego dzieła minister Eichhorn i decernent jego Eilers zdołali w czyn zamienić zamiary swego pana, wybuchła rewolucya. Ta gimnazyom klasycznym była wprost nieprzychylną. lecz zajęta ważniejszemi sprawami, zmian żadnych w ustroju wyższego szkólnictwa w Prusiech nie przyniosła. Tem gorliwiej wziął się rząd pruski po pokonaniu rewolucyi, do zrestaurowania zachwianej powagi gimnazyum klasycznego. W tym celu na decernenta spraw szkólnych powołany został Wiese, filolog z zawodu i usposobienia, i jego to przeważnie dziełem był plan nauk gimnazyalnych z r. 1856, który z drobnemi odmianami przetrwał do r. 1882.

W pierwszych latach tego długiego peryodu polemika, wszczęta niegdyś przez dr. Lorinsena, niemal zupełnie milknie. Do tego przyczyniło się niemało odwrócenie uwagi publiczności niemieckiej w inną stronę. Walka społeczeństwa niemieckiego przeciw reakcyi o utrzymanie praw, zdobytych w rewolucyi, objęcie rządów przez króla Wilhelma, konflikt konstytucyjny, wywołany zamierzoną reorganizacyą armii pruskiej, wojna krymska, włoska i duńska były faktami dziejowemi tej doniosłości, iż wobec nich maleć musiały wszelkie teoretyczne spory o najlepszy system wychowania publicznego. Nadszedł rok 1866. Niebywałe tryumfy oręża pruskiego mimowoli nasuwały pytanie, zkąd się wzięła ta niebywała wyższość armii pruskiej nad armią austryacką. Owocem tych dociekań był ów znany mit o roli pruskiego bakałarza pod Sadową.

Szkoła pruska tryumfowała; mianowicie też gimnazyum pruskie upajało się dymem własnych kadzideł i windykowało dla siebie część znaczną udziału w tych wojennych sukcesach. Wprawdzie podobnie jak przed trzydziestu laty dr. Lorinsen, wniósł teraz profesor Cohn z Wrocławia niejaki dysonans, zwracając uwagę na przerażająco wielki procent krótkowidzących pośród uczniów gimnazyalnych i na ten fakt znaczący, iż procent ich przybiera porówno z wysokością klas, ale głos jego przebrzmiał wówczas wśród ogólnego uniesienia! Gimnazyum klasyczne zyskało rozgłos szkoły niezrównanaj i liczba zakładów tego rodzaju raptownie. zaczęła wzrastać. Doszło do tego. iż każde niemal powiatowe miasto chciało mieć swoje gimnazyum.

Tymczasem w cichości gimnazyom klasycznym wzrastał groźny współzawodnik. Szkoła realna dobijać się poczęła coraz większego znaczenia. Założona pierwotnie w r. 1747 w Berlinie za współudziałem króla Fryderyka W. dla zaspokojenia potrzeb budzącego się do życia pruskiego mieszczaństwa, wiodła ona żywot wielce skromny do początku naszego stulecia. Pomyślniejszy rozwój klas mieszczaństwa, w tym okresie, wzrost handlu i przemysłu, zmiana zupełna stosunków ekonomicznych i warunków produkcyjnych podniosły z czasem niepomiernie ważność i znaczenie tego rodzaju zakładów naukowych. Pomimo to pozostały one tem, czem były pierwotnie, t. j. szkołami wyższemi do nabycia wiadomości nieodzownych w życiu praktycznem, do roku 1822. Wtenczas to bowiem dyrektor Spieleke w Berlinie inne, wyższe zakreślił im cele, przemieniając je ze szkół. jedynie praktyczne potrzeby mających na względzie, w szkołę, mającą podobnie jak gimnazyum klasyczne dać młodzieży wykształcenie ogólne na podstawie nowoczesnej wiedzy i z uwzględnieniem potrzeb realnych nowego czasu. W dziesięć lat później zreformowana w ten sposób szkoła realna uzyskała ze strony państwa pierwszą stałą organizacyą. Albowiem reskryptem z dnia 8 marca 1832 r. minister v. Altenstein określił ściśle wymagania, jakim zadosyć uczynić był winien uczeń, chcący uzyskać świadectwo dojrzałości, tudzież prawa, jakie z uzyskaniem tego świadectwa miały być związane. Za panowania jednakże króla Fryderyka Wilhelma IV, który, jakeśmy wyżej nadmienili, stanowczym był zwolennikiem gimnazyum klasycznego, szkoła realna stała się kopciuszkiem pruskiego szkólnictwa. Mianowicie po roku 1848 odpokutowała ona ciężko tych niewiele chwil platonicznej życzliwości, jakie okazała rewolucya. I tak w ciagu roku 1849 i 1850 zamknięto jej wychowańcom przystęp do akademii technicznych i ograniczono przystęp do karyery budowniczowskiej; w roku 1855 akademie budownicze zarezerwowano wyłącznie dla abituryentów gimnazyalnych, a w ciągu dwóch lat następnych odjęto realistom prawo poświęcania się wyższej karyerze górniczej i pocztowej. Prześladowania te ustały dopiero z objęciem rządów monarchii pruskiej przez króla Wilhelma I, a zwolna szkoły realne odzyskiwać nawet zaczęły swe dawniejsze prawa. Minister Bethmann Hollweg reskryptem z dnia 6 października 1859 nadał szkołom realnym nową organizacyą, której najważniejszym punktem był podział ich na dwie kategorye, szkoły realne I i II rzędu. Pierwsze do swego planu naukowego przyjąć musiały łacinę jako przedmiot obowiązkowy z dość znaczną ilością godzin, podczas gdy drugie od

---

radą prędkiego ożenienia się. Tak — profesor wyrażał się nader niepochlebnie o starych kawalerach, i dowodził, że wszyscy są samolubami, ponieważ nie chcą pomnożyć rodu ludzkiego. Rząd powinien nałożyć na nich wysokie podatki, na tych niegodziwców, bo wszystkie bezpośrednie podatki muszą opłacać ojcowie rodzin. Posunął się nawet jeszcze dalej, twierdząc, że prawo powinno karać stan kawalerski, jako występek przeciwko naturze. Księgarz, posiadający dobrą pamięć, wyraził mu swoje ubolewanie, że losy swoje połączył z losami: „przeklętej gęsi". Ale profesor zaprzeczył żywo, dowodząc, że żona jego jest najinteligentniejszą kobietą, jaką znał.

Dwa lata później widział pan Potocki profesora i żonę jego w teatrze, i powiadał, że oboje mieli wyraz twarzy bardzo zadowolony i szczęśliwy ho, ho!

Trzy lata później wyszedł raz właściciel restauracyi, Reiner, na przechadzkę do Mariafred — było to znowu w dniu św. Jana. W blizkości zamku, na zielonej murawie, spotkał profesora, popychającego wózek dziecięcy, i niosącego koszyk z żywnością; za nim szło całe towarzystwo, złożone z kobiet i mężczyzn, wszyscy byli widocznie ze „wsi." — Po obiedzie śpiewał profesor pieśni ludowe, i przeskakiwał z młodzieżą przez obręcze. Odmłodniał przynajmniej o dziesięć lat, a paniom usługiwał, jak prawdziwy cavaliero servante. Reiner, siedzący zupełnie blizko niego, miał sposobność podsłuchania, podczas obiadu, krótkiej rozmowy pomiędzy mężem i żoną. Młoda kobieta przepraszała męża, że raki, które mu kładła na talerz, nie są tak wielkie, jak zwykle, i że zapomniała zabrać kminku. Tłumaczyła się, że pomimo najlepszych chęci, nie mogła większych raków dostać, a co do kminku... Ale profesor nie pozwolił jej dokończyć, uścisnął i ucałował ją serdecznie, i rzekł, że to są bardzo piękne raki, że będą mu wybornie smakowały, że z kminku nic sobie nie robi, i że ze wszystkiego jest zadowolony. A gdy potem malec w wózku zaczął krzyczeć, wziął go profesor na rękę i nosił tak długo, aż się znowu uspokoił.

To są same drobnostki, ale zkąd oni mogli tak żyć, jeżeli profesor, będąc kawalerem, ledwie mógł wystarczyć? Zdawało się, że dzieci jego przychodząc na świat przynosiły ze sobą pożywienie na całe życie! Wszyscy byli tego zdania, i tak też to rzeczywiście być miało. —

obowiązkowego wprowadzenia łaciny były zwolnione i tylko fakultatywne jej zaprowadzenie pozostawione im zostało do woli.

Tak wzmocniona szkoła realna ośmieliła się wkrótce sięgnąć po palmę częściowego równouprawnienia z gimnazyami klasycznemi. Albowiem w ciągu roku 1868 i 1869 miasta pruskie utrzymujące własnym kosztem szkoły realne, zwróciły się do ministeryum oświecenia z prośbą o dopuszczenie ich abituryentów do studyów medycznych. Owczesny minister von Muehler zażądał w tej mierze opinii od pruskich uniwersytetów. Z tych oświadczyły się cztery, t. j. Wrocław, Berlin, Halle i Marburg przeciw przypuszczeniu realistów do studyów uniwersyteckich, cztery inne zaś, Królewiec, Greifwald, Kiel i Goettingen, za przypuszczeniem. Uniwersytet bonoński pośrednie w tej sprawie zajął stanowisko, wyrażając życzenie, aby wykształcenie gimnazyalne pozostało i nadal podstawą wykształcenia medyka, ale zarazem uwydatniając konieczność, iżby nauki matematyczno-przyrodnicze nie były po gimnazyach tak zaniedbywane jak dotychczas, bo jest to prawdziwem nieszczęściem, iż na większej części uniwersytetów czytać nie można kolegium specyalnego o fizyologii organów zmysłowych, ponieważ uczniom nie dostaje najelementarniejszych pojęć z dziedziny nauk przyrodniczych, a każda formuła matematyczna budzi w nich prawdziwe przerażenie z powodu braku najniezbędniejszych wiadomości z dziedziny planimetryi, trygonometryi i geometryi analitycznej.

Głosy uniwersytetów realnemu wykształceniu więcej przychylnych przebrzmiały niesłuchane i wniosek miast o przypuszczenie abituryentów szkół realnych do studyów uniwersyteckich ze strony ministra odmowny doznał odpowiedzi. Wkrótce wypadki z roku 1870—71 znowu uwagę społeczeństwa niemieckiego odwróciły w inną stronę. Niebywałe tryumfy oręża niemieckiego znowu zdawały się być więcej tryumfami kultury niemieckiej nad przegniłą kulturą francuzką niż sukcesami czysto militarnej natury. Wiara w niezrównanną doskonałość szkoły niemieckiej zdawała się być tym obrotem rzeczy na nowo stwierdzoną, a przez to nadzieja reform radykalnych na polu wyższego szkólnictwa usunęła się w dal mglistą. Ponieważ jednakże wzięto się gorączkowo do budowania nowych szkół wyższych we wszystkich zakątkach monarchii pruskiej, przeto wkrótce dał się uczuć brak dotkliwy odpowiednio wykształcynych nauczycieli. Okoliczność ta dała powód do niejakiej koncesyi ze strony najwyższej władzy szkólnej na rzecz abituryentów szkół realnych. Reskryptem bowiem z dnia 7 grudnia 1870 r. minister v. Muehler otworzył im przystęp do studyów uniwersyteckich w matematyce, naukach przyrodniczych i językach nowożytnych z prawem składania państwowego egzaminu w tych przedmiotach, ale zarazem z tem zastrzeżeniem, iż wolno im będzie obejmować posady nauczycielskie tylko po szkołach realnych z wykluczeniem gimnazyów i progimnazyów klasycznych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA WYŁOMIE.

(Z pamiętnika Warcińskiego pielgrzyma. — Polityka na wystawie.)

Było to w dzień powrotu pątników poznańskich z Lourdes niemieckiego — Warcina. Pomodliwszy się przed cudownym obrazem pana Bismarcka z Tyrasem u nóg i Schweningerem u boku wracali pobożni pielgrzymi do wielkopolskich siedzib. Oblicza ich nosiły jakieś melancholijne piętno ascetyzmu. Oczy zapadłe i sine, lica pokryte zielonawą bladością, ruchy ociężałe i senne śpiewały nam o wielkich zaparciach, udręczeniach, postach, nocach nieprzespanych, — może włosiennicach. Cała kompania sunęła w głuchem milczeniu po peronie poznańskiego dworca, gdzieniegdzie żegnano się z cichem westchnieniom, gdzieniegdzie ochrypłym głosem wołano fiakrów i posługaczy, a inni złożywszy najpiękniejszą blondynkę ziem naszych — grodziskie piwo — jako ofiarę u stóp warcińskiej świętości, zalecali się teraz z namiętnem spojrzeniem do smacznych bawarskich brunetek.

Po kilku minutach zgiełku i zamętu wypróżnił się dworzec poznański. W sali tylko drzemało kilkunastu prowincyałów, oczekując następnych pociągów, które unieść ich miały na łono rodziny do głuchych partykularzy. Z litością spoglądałem na te biedne, wymęczone ofiary Warcińskiego kultu. Chrapali oni aż miło, śniąc o cudownym obrazie, cienkich „buttersztulach“ spożytych w Nowym Szczecinie, cielęcej pieczeni z bismarkowskiej kuchni i wielkim psie Tyrasie. Ale snać przykre musiały być te senne mary, bo twarze ich wykrzywiały się bolesnym grymasem, a raz po raz ciężkie westchnienie z piersi się wydarło.

Na jednej z ław wyciągnięty jak długi leżał mój przyjaciel Schulce — poczciwy piwowar z Ryczywołu. I on także wybrał się z innymi na ten wielki odpust do Warcina, a teraz zmrużył powieki i sapał jak miech kowalski. Spojrzałem na niego i trąciłem go z lekka. Zerwał się na równe nogi, zaprezentował parasol jak karabin i jakieś chrapliwe „Hoch Bismarck“ wydarło się z gardła piwowarskiego. Po chwili jednak zorjentował się w sytuacyi.

— Chwała Bogu! to już Poznań, — mruknął przez zęby.

Uśmiechnąłem się.

— Chwała Bogu? Ostrożnie panie Schulce! Gdyby „Ten z Warcina“ dzierżył jeszcze berło kanclerskie, usłyszałbyś, śmiałku, głos prokuratora: Bismarckbeleidigung! Czy wiesz co to znaczy?

Zatrząsł się nieborak. Ale wkrótce ochłonął i odetchnąwszy z głębi serca, szepnął z rozkosznym uśmiechem:

— Er ist ja nicht mehr!

Myśl ta widocznie wprawiła w dobry humor piwowara z Ryczywołu, bo w dzwonek uderzył i obstalował to, co dworzec poznański ma najlepszego — kulmbachskie piwo. Pociągnął, mlasnął językiem, a oczy jego błyszczały z zadowoleniem.

— To dobre, bardzo dobre, — wołał z zachwytem — lepsze niewątpliwie jak wino z Babimostu ofiarowane ks. Bismarckowi.

Tu zaśmiał się na całe gardło, a potem znowu tak mówił:

— Znakomity sobie ten Tiedemann! „Lacrima Petri“ ochrzcił swoje wino, ale prawdą a Bogiem to rad jestem, że św. Piotr w moim Ryczywole nie płakał. Babimojski wyrób to symbol naszych humorów. Kwaśne jest jak my na wyprawie.

W zdumieniu słuchałem wynurzeń pielgrzyma i już chciałem coś bąknąć o entuzyaźmie pątników, rozkrzykiwanym po dziennikach, gdy pan Schulze domyślił się wątpliwości moich, pociągnął z kufla, chrząknął i machnąwszy ręką tłomaczył się głosem stłumionym:

— Jakieś licho skusiło mnie na tę wycieczkę. Ale widzi pan. Mam browar, sprzedaję piwo i dbam o odbiorców, Przyszedł jeden i drugi, — nauczyciele, urzędnicy, obywatele — i dalej namawiać: Jedź Schulze z nami, kupujemy twoje piwo, poświęć twój spokój i talary twoje. Co było robić? Ubrałem się w surdut odświętny, przypiąłem do klapy wstążeczkę i „auf nach Warzin“, Trzydzieści sześć godzin w podróży! Na twardych ławach, napchani jak owce w wagonach, bez snu, bez żywności — to straszne.

Głos jego teraz na płaczliwą rozegrał się nutę.

— Pomyśl pan tylko. Dali tam na dworcu Warcińskim szklankę groku, trochę cielęciny i kawałek chleba. Panie! to dla mojej czteroletniej Marychny za mało, a ja — tu spojrzał litościwie na własny brzuszek — mam dobry apetyt. Chciałem kupić, — nie było. Dwa tysiące ludzi nakarmić — to nie fraszka. A potem ustawili nas w bataliony i pod wodzą ekonomów Warcińskich kazali maszerować do ks. Bismarcka cztery kilometry. Niewyspani, głodni, zmęczeni, stajemy przed zamkiem. Krzyczeli inni, krzyczałem i ja: Hoch Bismarck! ale każde słowo kością w gardle stało.

— No! ale widziałeś pan księcia — przerwałem. — Słyszałeś mowę żelaznego człowieka. Teraz możesz umrzeć spokojnie.

— Dobrze panu żartować, przespawszy noc na wygodnym materacu i zjadłszy obiad uczciwy, ale ja — Kelner! Do stu djabłów! podaj mi wreszcie ten kotlet, bo umrę z głodu prędzej od Bismarcka.

Zjadł kotlet, wypił drugi kufel piwa i dalej opowiadał.

— Wołałbym nie widzieć księcia; zabrałbym z sobą do grobu przynajmniej iluzyę. To dziś ruina dawnej wielkości, — gadatliwy staruszek, któremu już ani pamięć, ani wymowa, ani rozum nie dopisują. Nasz burmistrz z Ryczywołu wygłosił na uroczystości sedańskiej znacznie lepszą oracyą. I nie dziw się pan temu. Bismarck zna dokładniej stosunki chińsko-japońskie niż nasze prowincye i społeczeństwo polskie. Miałem kilka razy serdeczną ochotę zawałać na całe gardło: Unsinn Excelenz! ale zląkłem się Tyrasa, który z podziwieniem słuchał pana swojego i raz po raz z zadowolenia uderzał ogonem o kamienną posadzkę. No! oczywiście było jeszsze kilka innych stworzeń, które w bezgranicznym zachwycie wsłuchiwały się w słowa warcińskiej wyroczni, ale, widzi pan! w zbiorach zoologicznych Pana Bogа znajdują się dziwne zwierzątka. Gdyby Bismarck ustroił się w krótką spódniczkę i zaśpiewał kuplet operetkowy, to i wtedy nawet znalazłby wielbicieli talentu swojego. Tak przecież było z Neronem, gdy zasmakował w histryonów rzemiośle.

I byłby pan Schulze dłużej jeszcze opiewał swoje bóle i rozczarowanie, gdyby na sali nie rozległo się monotonne „Einsteigen“. Wychylił więc do dna swój kufel, uścisnął mi rękę i pojechał do Ryczywołu poczciwy piwowar.

Dziś gdy rozczytuję się w berlińskich dziennikach i szukam dawnego Bismarka w Bismarkowskiej mowie, staje mi żywo przed oczyma ten Schulze z Ryczywołu i jego smutna opowieść. Zrazu drwiłem sobie w duszy z prostego filistra, bo zdawało mi się, że Warciński polityk mógł cisnąć w oczy Polakom krwawe urąganie, mógł coś takiego powiedzieć, od czego serce polskie zaboli, ale nie wierzyłem nigdy, by stary Kronos zasłużył sobie na wzdrygnięcie ramion, — by stanął przed armją hołdowników swoich z garścią banalnych komunałów i elementarnych fałszów. Będzie ta mowa może wstrętną dla mnie — myślałem, — ale bądź co bądź znajdę tam — Bismarka.

Omyliłem się, Bismarka nie znalazłem, — umarł już za życia.

Przez trzy kwadranse mówił Bóg warciński, a w tem godzinnem nieomal przemówieniu nie było ani jednego bismarkowskiego *„momentu“*. Słabe reprodukcye dawnych napaści, jakaś tasiemcowa krętanina myśli i poglądów, pospolite ogólniki zaprawione germańską butą, garść jadu ciśnięta na polskie społeczeństwo, fałsze krzyczące w ustach dyplomaty i lament gorzki na romatyzm w nogach — oto uczta zgotowana poznańskim pielgrzymom. A wszystko to rozcieńczone w wodnitem gadulstwie, bez nerwu, bez kości, bez siły. Gdzieniegdzie na palce się wspina to Bismarkowskie „Plusquamperfectum“, — zdaje się, że urośnie do dawnej potęgi, ale wnet kurczy się, zwija, — nie ma już Bismarka.

Dziwna tragedya losu! Teraz rozumiem w całej pełni słowa greckiego poety: *„Młodo ten zawsze umiera, kogo Bogowie kochają“*.

* * *

Trzecia wyprawa Wielkopolan na lwowską wystawę powróciła już do miasta naszego. Przyznaję otwarcie, że z wszystkich dotychczasowych wycieczek żadna tak sympatycznego na mnie nie wywarła wrażenia. Nikt jej nie rozdął jarmaczną reklamą do rozmiarów śmieszności, nikt poważnego nastroju nie zamącił dysonansem roz-

pusty, a przytem opromieniły ją blaski gorącego patryotyzmu, entuzyazm braci galicyjskich, i wielka harmonja dusz polskich, korzących się w głębokiem nabożeństwie przed świątynią narodowej pracy i narodowych pamiątek. Jeden tylko moment pragnąłbym wymazać z księgi wielkopolskiej wycieczki, — moment, o który raz już potrąciłem w feljetonach moich, a który w najświeższym czasie pojawia się z dziwną natarczywością w każdym objawie życia publicznego. Mówię o politycznych występach ugodowców naszych.

Wycieczka na wystawę to święto miłości. My nie pragniemy podziwiać tu jedynie igrzysk narodowej kracy, lecz chcemy zapomnieć o tem wszystkiem, co w szarej prozie życia codziennego dzieli nas i rozdwaja, chcemy być jedną polską rodziną, a wszystkich Kościelskich, Niegolewskich, ludowców i Stańczyków w domu pozostawić.

Tak długo huczało w uszach naszych pytanie „Henryk czy Pankracy?“ tak gęsto porośliśmy w kolce jadowite w zamęcie bojów politycznych i taką nienawiścią zbrukały się nieraz serca nasze, że nam od czasu do czasu potrzebna kąpiel w czystej krynicy miłości, aby nie zaskorupiać się w stronniczej powłoce i po za *obozem* Kościelskich lub Szymańskich poczuć się *narodem*.

Zapomnieli o tem fanatycy nowych kierunków i rzucili na tacę zdawkową monetę haseł ugodowych. Rozumiem, jeżeli polityk lub dyplomata na owacyi zgotowanej sobie przez pewną solidarną i mniej więcej jednolitą koteryą potrąci o program stronnictwa, — jest to bankiet stronniczo-polityczny, gdzie Kościelski mówi do Kościelskich, a menu obok deserów prezentuje mowę polityczną, — ale pojąć nie mogę tego beztaktu, który wśród gości *najróżniejszych barw i odcieni*, zebranych po to jedynie, aby chwil kilka serdecznie pogwarzyć i zapomnieć o dzielących nas szrankach, rzuca do rosołu garść politycznych korzeni. Jedni zaprawę taką pochłoną z wilczym apetytem, inni jednak nie tkną zepsutego pokarmu i chyba przez grzeczność nie odejdą od stołu. W harmonii zjawia się rozdźwięk, w narodowej muzyce zgrzyt stronniczej zawiści i zamiast orła białego krzykliwe papugi politycznych obozów.

Dziwne zaiste to bractwo poznańskich Stańczyków. Snać czują dobrze, że gmach ich kruchy się chwieje i w proch rozsypać się może, jeżeli tak nerwowo, z piętnem strachu na czole, z podeptaniem wszystkich względów szukają w okół oparcia.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Et Maupassant? Henryk Lavedan, jeden z najzdolniejszych z pomiędzy młodych powieściopisarzy francuzkich, napisał w tych dniach artyknł p. t. „Et Maupassant?“... Ten znak zapytania jest niejako symbolicznego znaczenia. Pełen smętku nad znikomością tego, co sławą nazywamy, pełen żałości nad przedwcześnie zmarłym autorem, pełen wyrzutów, iż nie godzi się puszczać w niepamięć tak zdolnego, świetnego autora, jakim był Guy de Maupassant, któremu wszakże każdy z nas zawdzięcza niejedną chwilę wzruszenia, lub rozrywki, doznanej przy czytaniu wyszłych z pod jego pióra powieści.

Honryk Lavedan tak mówi w swojem artykule: Temi dniami będąc na wielkich bulwarach, kupiłem fotografię Guy de Maupassanta, a podczas, gdy sprzedająca w sklepie kobieta wsuwała wybrany przezemnie portret do wielkiej, grubej koperty, zapytałem: „Czy dużo pani sprzedaje tych portretów?“

— Prawie wcale.

Mimowoli szepnąłem półgłosem: „Ot, co znaczy umrzeć!“ a kobieta z wielkiem zdziwieniem zawołała. „Jakto?... To on umarł?... Nic o tem nie wiedziałam. Ale teraz rozumiem, dla czego nie kupują jego fotografii i dla czego już nie mówią o panu de Maupassant“. Te słowa zasmuciły mnie, są bowiem echem opinii naszego ogółu, echem, stosującem się do każdego ubiegłego faktu, do każdego zmarłego. Rozgłośna sława, jaką był otoczony Guy de Maupassant za życia, ulega zapomnieniu zepchnięta z widowni natłokiem faktów i faktów chwili bieżącej. Wstąpiłem do biura Towarzystwa literatów (Societe des gens de lettres), by zapytać, jak idą sprawy składki na pomnik dla Guy de Maupassanta?. . Odpowiedziano mi, iż suma siedmiu tysięcy franków, zebrana w pierwszych dniach po jego śmierci, prawie, że nie zwiększzła się do tej pory. Koszta pomnika zaś obliczone są na dwadzieścia tysięcy franków. Wielkich naszych zmarłych opłakujemy i pamiętamy co najwyżej przez tydzień. Pomimo melancholijnego smętku, jaki ztąd wypływa — może to i lepiej... Smierć ich jest przeszłością... więcej miejsca dla życia!“

* * *

Cezary Jellenta. — Eusapia. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1894.

Jest to szereg — nie powiemy dowcipnych — ale złośliwych fejletonów, osnutych na tle dziejów manii mediumistycznej, udręczającej Warszawę ubiegłej zimy. Jako odcinki dziennikarskie, może i miały w swoim czasie racyę bytu. Zamknięte w książeczce straciły znaczenie aktualności, wydają się „historyą starożytną“.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Japończycy odnieśli walne zwycięstwo nad Chińczykami pod Ping Yang. — Przy końcu bieżącego miesiąca rozpoczną się w parlamencie węgierskim rozprawy nad prawami kościelno-politycznemi. — Z powodu mowy ks. Bismarcka przed gronem hołdowników poznańskich w Warcinie rozgrywa się w prasie niemieckiej nowa kampania przeciw Polakom. — W Inowrocławiu zawiązało się w minioną sobotę „Towarzystwo nauczycieli katolickich na Kujawach“. — Do poznańskiego zakładu głuchoniemych przyjęto 22 nowych uczniów. Obecnie uczęszcza do tego zakładu 188 uczniów: 113 chłopców i 75 dziewcząt. — Najświeższe obliczenia wykazały, że Berlin posiada 1,701,003 mieszkańców.

Zjazdy i kongresy. We Lwowie odbył się zjazd leśników pod przewodnictwem Romana hr. Potockiego i pierwszy zjazd członków galicyjskich towarzystw prawniczych. — W Grazu odbył się kongres turystów alpejskich. — W początkach r. 1894 odbędzie się zjazd hydrotechników w Petersburgu.

Wystawy. Wystawa rólnicza berlińska zamknięta została niedoborem 33,000 mrk. — W Petersburgu odbędzie się wystawa drukarska. — Na rok przyszły przygotowują we Wiedniu wystawę budownictwa i sztuki kościelnej. — W Moguncyi otwarto wystawę ogrodniczą.

Teatr i muzyka. W poznańskim teatrze zaprodukował się po raz pierwszy w antraktach czwartkowego przedstawienia młody tenor Wincenty Rapacki. Swieżo zaangażowany artysta odśpiewał aryą z IV aktu opery „Halka“, następnie „Z ksiąg Genezy“ Niewiadomskiego i „Sicilianę“ Mascagniego. Głos to niewielki, ale czysty, dobrze ułożony i nader sympatyczny, — w wysokich tonach tylko nieco wysilony. Zdaje nam się, że śpiewak powinien przerzucić się do partyi barytonowych. — Dyrekcya teatru poznańskiego przyjęła do reportoaru sztukę Graybnera „Irena“ i „Wyścig dystansowy“ Kl. Junoszy. — „Nora“ Ibsena graną będzie w nadchodzącym sezonie w paryzkim teatrze Gymnase. — Na warszawskiej scenie ma być wystawiony nowy balet, do którego muzykę pisze p. Spetrini (Włoch). — Sardou napisał sztukę historyczną „La princesse d'Athènes“ przeznaczoną dla teatru Renaissance. — W londyńskim teatrze Comedy przedstawiono z powodzeniem sztukę Sydneya Grandy p. t. „The New Woman“ (Nowa kobieta).

Polacy w Niemczech poza Berlinem mają dziś około 70 towarzystw katolicko-polskich, charakteru przeważnie kościelnego. Połowa towarzysw przypada na Westfalią, Nadrenia ma około 20 towarzystw, Hanowerskie zaś 5, Szlezwig 1, okolice saskie około 20. Najwięcej członków, bo około 500, liczy Towarzystwo św. Barbary w Botropie w Monasterskiem. Jest tam zarazem największa kolonia polska, bo liczy ona, według obliczeń miejscowego proboszcza, co najmniej 4,500 dusz. Do Botropu dochodzi do 500 różnych gazet polskich, a z ich roznoszenia utrzymuje się jeden człowiek.

Znany estetyk ks. Eustachy Skrochowski zamieszcza w „Czasie“ krakowskim następującą ocenę utworów ziomka naszego rzeźbiarza Wład. Marcinkowskiego wystawionych we Lwowie: „Bardzo dobre dwa dzieła przysłał Marcinkowski z Paryża. Płaskorzeźba w białym marmurze X. arcybiskupa Stablewskiego jest wykonana doskonale, z wielkim taktem i smakiem w zastosowaniu do materyału i jest jedną z najlepszych rzeźb na wystawie. Pewna ścisłość, a nawet twardość linii, daje tej głowie bardzo wiele charakteru i sprawia, że portret ten jest zarazem doskonałym typem ogólnym dygnitarza kościelnego. „Matka z dzieckiem,“ niewielka grupa z bronzu tego artysty, pełna jest elegancyi, i jest nawskroś nowoczesnem dziełem francuskiem. Kierunek Marcinkowskiego, pośredni pomiędzy klasycznym, a realistycznym, na tem polega, że salonowa dystynkcya zastępuje u niego styl i moderuje realizm.“

W najświeższym numerze dwutygodnika krakowskiego „Świat“ znajdujemy oprócz portretów cesarza Franciszka Józefa, Antoniego Jaksy Chamca i Tadeusza Romanowicza, dobrą reprodukcyą obrazu Wankiego p. t. „Nad morzem“. Z działu literackiego zasługuje na wyszczególnienie praca współpracownika naszego Dr. J. Suessera p. t. „Prometeiści“.

Dwie królowe. Na wystawie pszczelniczej w Wiedniu można oglądać osobliwość podobno nigdy jeszcze niebywałą. Spisano osobny protokół, stwierdzający fakt zadziwiający: oto w jednym ulu znajdują się dwie królowe, obie jednakiej okazałości, a żyją zgodnie z sobą, czyli, że w jednym ulu są dwa osobne królestwa. Każdą królowę otacza świta, sztab, niewolnicy; oddają one sobie wzajemnie wizyty z całym aparatem, witają się grzecznie, całują się nawet mackami, a po takiej ceremonji oddala się przybyła do swojej rezydencyi, znowu z całym dworem. Pszczelarze nie mogą wyjść ze zdumienia.

W panoramie Racławickiej. Gdy zebrani we Lwowie Sybiracy zwiedzali panoramę, zdarzyła się rozczulająca scena. Znana patryotka pani Wysłouchowa, która cały swój czas poświęcać zwykła osobliwie włościanom, objaśniając treść panoramy, zajęła się także Sybirakami. Było mnóstwo patrzących, którzy pochłaniając słowa znakomitej interpretatorki, tłoczyli się koło niej, a najbardziej dwóch młodzieniaszków. Pani W. widząc w nich natrętów, przeszkadzających właściwemu audytorjum, upomniała chłopców, aby się nie cisnęli. Ze zdumieniem usłyszała od nich odpowiedź: „Proszę pani. my także Sybiracy.“ — „Jak to? tacy młodzi?“ — „My się porodzili na Syberyi.“

Zmarli:

Oskar Eichelberg, znakomity skrzypek berliński, założyciel konserwatoryum w Berlinie, zm. 31 sierpnia.

Gustaw Frederix, publicysta i estetyk belgijski, zm. w Brukseli 25 sierpnia.

Henryk Keil, latynista niemiecki, zm. w Friedrichsrode 28 sierpnia.

Henning, znany rzeźbiarz berliński, zastrzelił się 18go b. m.

Emanuel Chabrier, znany kompozytor francuski. zm. 14 września w Paryżu.

Jan Zengteller (pseud. Jan Zdora) utalentowany literat i dziennikarz. Pisywał do „Prawdy“ warszawskiej „Jasełka krakowskie“, zm. we Lwowie.

Damazy Miśko, zdolny publicysta, wybitny działacz narodowy, inicyator sprowadzenia zwłok Mickiewicza do rodzinnej ziemi, zm. w Andrychowie, w Galicyi.

BIBLIOGRAFJA.

Likowski Edw. ks. biskup. Mowa żałobna powiedziana nad zwłokami ś. p. Augusta hr. Cieszkowskiego w kościele podominikańskim w Poznaniu. Poznań 1894.

Łopuszański Tadeusz. Galicyjskie kasy oszczędności, ich rozwój i stan obecny. Lwów 1894. Cena 6,00 Mr.

Pamiętnik III zjazdu prawników i ekonomistów polskich w Poznaniu w dniach 11—13go września wydany staraniem komitetu III zjazdu. Poznań 1894. Cena 2,50 Mr.

Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Tom XX. Z portretem hr. Augusta Cieszkowskiego. Poznań. Nakładem Towarzystwa. 1894

Wołowski Michał. Garść monologów. Warszawa 1894. Cena 1,50 Mr.

Tenże. Z dogmatem. Powieść. Warszawa 1894. Cena 3,00 Mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

W. Par. Sprawy tej podjąć się nie możemy, bo wymaga zbyt wiele zachodów. Racz Pan udać się do adwokata.

Satanella. „Szatańska“ poezya utonęła w czeluściach kosza dziennikarskiego.

M. D. Zebranie odbędzie się w miesiącu październiku.

Przyjacielowi. Prosimy przypomnieć temu panu powiastkę Lessinga o Pythagorasie i wołach.

Składki

na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o życiu Karola Marcinkowskiego złożyli:

Dr. Maksymilian Tyc z Monachium	10 Mr.
Dr. F. Niegolewski z Monachium	10 „
Mecenas Czypicki	10 „
Mecenas Kutzner	20 „
Roman Hulewicz	10 „
Dr. N. Szuman	10 „
Razem	70 Marek.

Dotychczas zebraliśmy ogółem 394 Mr. O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.